

POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

50

235

TADEUSZ MALICKI



DUNAJCOWE
W O D Y

G E B E T H N E R I W O L F F



DUNAJCOWE WODY

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~

~~Nr. 437~~

1-48
11139

POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

TADEUSZ MALICKI

DUNAJCOWE WODY

Z 15 FOTOGRAFIAMI i 2 MAPKAMI



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
W A R S Z A W A — 1 9 3 9

ZDJĘCIA ORYGINALNE AUTORA
PRAWO REPRODUKCJI ZASTRZEŻONE



Mal
Druk
2/24

8-4

COPYRIGHT
BY GEBETHNER I WOLFF



SN

21577 913(438)(047)

170/38

I.

*Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu...*

Wznoszą się ku niebu zębata granią, śmigłe a mo-
carne. Dźwigają na sobie fiołkowe niebo, pasąc na
nim stada chmur niby srebrnorune owce.

Tatry.

Z wysoka pozierają w kraj zwałniony górami, na
których szumią ciemne lasy, na krainę opadającą
coraz niżej w szmaragdową równinę polną i kłósną,
przetykaną modrymi wstęgami rzek, złocistymi ła-
chami piachów, połyskującą murami dalekich miast,
zjeżonych wieżycami i kominami fabryk i kopalń.

Delikatne wąskie nici białych dróg i stalowe węże
szyn ni to żyły rozprowadzające krew zmierzają do
miast i osiedli fabrycznych, do wsi ocienionych wień-
cami drzew, w kraj wielki i szeroki, oparty stopami
o sine morze.

Są najwspanialszą koroną na jasnym czole Oj-
czyzny.

Korona, wyłożona słońcem, mieni się białą ema-
lią śniegów, lazurem jezior, szmaragdem hal, ame-
tystem krokusów, szafirem gencyan.

Niby włosy anielskie opadają ze skroni bogate brylantowe sznury potoków i siklaw, mieniające się, tęczowe i szumne.

Poczęte są ze śniegów, leżących w głębokich kołtach i żlebach, nad miedzianymi piargami, kędy bystronie kozice wiatrem się niosą z grzędy na grzędę i tajemniczo pogwizduje świstak.

Z jezior, gdzie pływają wielgoryby o baraniej głowie i kędy halny wiatr wzburzywszy toń wydobywa na jaw szczątki niewidzianych korabi.

Z mgieł ciężkich, które przenosi po graniach Świst i Poświt, z nużących dżdżów i nagłych — jak Tatry mocnych — burz lub kurniaw, niesionych dujawią.

Gazduje nimi Płanetnik, ukryty w zapadłej wsi u młynarza pod kołem, albo niosący się światami na chmurze.

Nabrzmiwiają te wody w młode górskie potoki, skaczące z wysokich progów skalnych jasnymi siklawami, burzące się na czarnych żabicach, nakrapianych czerwienią porostów, zacichają na chwilę w baniorach, kędy smukłe pstrągi pluskają się w zielono granatowej toni.

Łączą się z nimi inne, wytrysłe z łona ziemi, z tajemnych, sobie jeno znanych pieczar i grot, objawione oczom przedziwnymi wywierzyskami, z których wraz z warkoczami wód wieje lodowaty chłód. Tym powierzyła tajemnice wielkich, podziemnych jeziorzysk złota kaczka, zakłeta w białej komorze, wspartej przeświecającymi filarami stalaktytów.

Poiły kiedyś te wody konie, złotymi podkowami kute, chrobrego pogotowia witeziów. Pozostał jeden z nich, w kamienną ścianę nadwodną wrosły, na kordzie sennym czołem oparty, na wiekiusty sen zaklęty, albowiem — nie wierzył. Powiedziała mi o tym woda.

Gdzie indziej dotknęła rozpalonego serca ziemi i ciepło jej miłości w siebie wzięwszy kołysze w tajemnicy ogromnego smoka-jaszczura.

Barują się te wody na dnie dolin ze skałami i wantami, gładzą je i szlifują, bezustannym naporem podważają, kruszą nawałą i niosą z sobą gwarne, radosne wyrzucając je na brzegi wywalczonych korycisk. Zanurzają się w czarne lasy pieszcząc korzenie niebotycznych smreków, buków, jaworów i jesionów. Przeglądają się w ich nurcie zielononiebieskie mchy, wysokie łopiany, fioletowe tojady. Chyli się i kloni nisko skorusz-jarzębina, strojna w korale czerwone. Kołysze się nad nimi czarna błyskawica, mały ptaszek, pluszcz-kordusek, drobnym ciałkiem przebija wart wodospadu, razem z wodą niesie się w przeloty.

Ciemnym wieńcem poroża rozchyli gałęzie jeleni i wielkim granatowym okiem patrzy na otwartą, oślepiającą przestrzeń, którą wywalcza sobie w pralesie jasny potok. Za nim trwożliwie wyjrzy mała sarna o czarnym aksamitnym pyszczku. Mrucząc i kołysząc się niedbale podchodzi do wartu niedźwiedź i zanurzywszy w baniorze kudłaty łeb pije łakomie kryształową wodę. Jak płowy piorun przeskoczy z ga-

łęzi na gałęź chybki ryś lub czarna kuna. Czasem z jasnego słońca oberwie się złocisty promień lub luska błękitna, jaką wybite jest niebo, i zawieszona nad tonią małym motylem, chwiejnie polata.

Uderza potok z siłą w powalone wiatrołomy, w barykady naniesionych straszną lawiną drzew, obielaja z kory prześlizgując się pomiędzy nimi żywy, bujny, młodzieńczy. Jeden jedyny, któremu nie straszny halny wiatr, na południowej grani poczęty.

Z bocznej dolinki wypada młodszy brat-potok i razem, zwarte w uścisku, płyną, wzmocnione kochaniem, przed siebie. Zwolna otwiera się przed nimi górski świat. Zakwitają kwieciami stubarwnymi szerokie polany, jakże piękne w drżącym, wonnym powietrzu.

Turlikają wysoko na upłazie dzwonki owiec. Dziłkim, gardłowym głosem wyśpiewana, odbita od turni nuta, zakończona radosnym holofieniem, spada na ziemię jak sama radość z nieba.

Owce moje owce, niek wos pasie fto fce,
Jo wos paść nie budziem, bo jo na zbój pódziem.

Eeee heu...

Szałasy śpią cicho we własnym cieniu, jedynie siwa, wonna smuga dymu rozplywa się nad nimi w cichym powietrzu. Na pogłos pieśni podniósł głowę stary baca, grzejący się na progu szalasa do słonka. Wypatruje zamglonym okiem po upłazach, kędy owce płyną jak woda.

...he redyka sie Jonik dołu na połednie.

Napotkały wody człowieka-pasterza. Gnieździ się w dymnym szałasie z wiecznie płonąca watrą, razem ze swymi pucierami, geletami, rajtokami, obońkami, kotlikiem na żętycę i warząchwią. Koszarzy owce na „kosorze“, doi je i wygania w upłazy, strzeżone przez srogie psy luptaki, uzbrojone przed zwierzem w kolczaste obroże.

Idą juhasi „pasęcy“ po upłazach żenąc kerdel owiec białych, siwych i czarnych, okaistych, siutych i kurnatych. Niejeden przystanął nad sikławą, zasłuchany w szum i tęczany przelot wód. Niejeden zaśpiewał wodzie uzdajaną przez siebie pieśń. Nasłuchiwała się woda, popod sam szałas płynąca, wieczorną porą, kiedy na niebo gwiazdy jak owce kerdelem wybiegły, opowieści o czasach drzewiejszych. Czerwony płomień watry kładł się na fali przez otwarte dźwierzce, zazberczały czasem dzwonki owiec przeżuwających w spokoju na koszarze, czasem odezwał się pies. Zbici w gromadę przy watrze, obok bacy, kurząc „habrykę“ w metalowych fajeczkach „z kogutke“ o krótkim, wygiętym piporasie słuchają.

Idzie gwara o Janosiku, o Mateju, o honornych chłopach zbójnikach, o Tatarze Myśliwcu jak się z Orawskiego wykradał zamku.

O Sablikowych, Tyrałowych łowach na niedźwiedzia, na capu, o śmierztecze, co w styrbnym miejscu na „dobrego hłopa“ czeka.

Opowieść o umierającej ślebodzie.

Przerwie ją czasem w przedjesienne dni jazgot psi.
Wypadną z szałas z płonącymi sajtami — strwożeni.
Niedźwiedź owce bije.

Widziała woda zielona w potoku, jak juhasi w południe geleta do szałas niosą pełne mleka. Obrzędowym niemal ruchem rozpościera baca „satę“ na pucierze i kładzie na niej dwa krzyżyki „z bazicek i cetynek“ przykrywszy je drugą „satą“ leje w pucierę mleko. Czyni te krzyże na dobrą urodę i od złego człeka, któryby „sposobem jakimś mógł mleko owcom ująć“. Przedzone zlewa do kotlika, klaguje podpuszczką i waży aż „serzeń“ wypłynie na wierzch. Zbiera go w biały bochen i owinąwszy w „serzynkę“ stawia na „podysarze“, by spłynęła serwatka. W kotliku zostaje hurda-żętyca, najistotniejszy posiłek juhasów. Przedzona - zwarnica żywi psy. Widziała woda, jak w pięknych ryzowanych formach ugniata baca sery-oscypki, jak z ludźmi poważnie odmierza ich „hasen“, wedle prastarego obyczaju przyniesionego przez Karpaty z dalekich gór.

Woda płynie. Raz jeszcze zaskoczyły turnie drogę wodzie niecierplivej i, rozdarte na kształt bramy, przepuściły ją w dolinę na ślebodę.

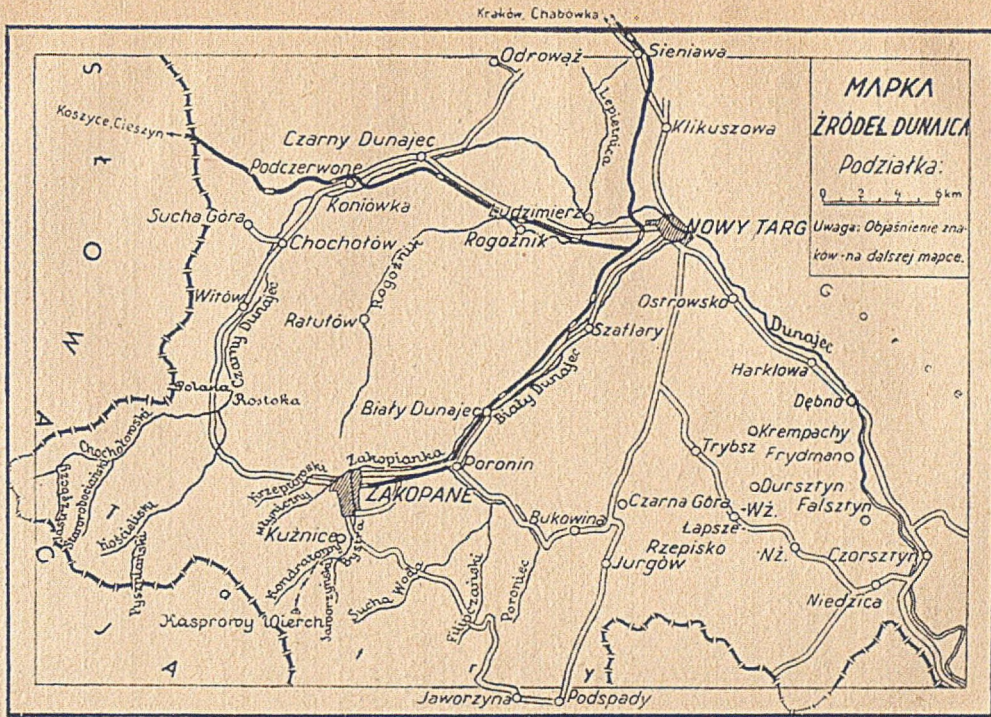
Wypatrują za wodą z nad ciemnych lasów i pytają: Nie będzie ci nas żal, wodo, wodo zielona?

Wyzwolone, rozkrzyczane, szerokim niebem wysrebrzone spływają się razem Chochołowski Potok

z Kościeliskim. Pozbierał Chochołowski brać: Jarząbczy, Starorobociański, Trzydniowiański i Lejowy, otwarł ramiona Kościeliski: Iwanowskiemu, Pyszniańskiemu i Tomanowemu Potokowi, a złąwszy się razem na polanie Roztoce z Siwym i Kirowym Potokiem rzucają się w otwarty świat Czarnym Dunajcem.

Ówdzie z serca gór, z ich tajni, wypływa Potok Małolącki, Krzeptowski, Młyniczny, Spadowce, Czarna i Biała Woda, kwapią się ku nim z Gubałowskiego: Sobiezkowy, Simaszkowy i Kotelnicki. Wzrósłszy społecem w Cichą Wodę, jakby na przekór ich wartowi zwaną, połączywszy się na Kamieńcu z Bystrą zbierającą wody Kondrackiego Potoku, Kalackiego Wywierzyska, Goryczkowego, Kasprowego, Jaworzyńskiego, płyną od Kamieńca jako Zakopianka, strojna w ciemne olchy i srebrne wierzby. Mieni się na jej piersi gorset błękitny, bogato srebrną i złotą łuską zdobiony, z szeroką bortą perłowych otoczków kamieńca.

Dąży do niej bukowiński Poroniec, sycony wodami długich i głębokich dolin, wodami: Kunowskim, Farasówką, Suchą Wodą z Filipczańskim Potokiem, Budzowym, Chowańcówką, Świdrówką, z Cyrlikówką, Potokiem od Sztolni, od Koszystej, Kobylim, Łężnym, Przyporniakiem. Wiążą się pod Poroninem ślubem dozgonnym i Białym Dunajcem w świat się niosą.



II.

Inny świat. Dokąd płynęły ciasnymi dolinami górskimi, były nad nimi: las, turnie i niebo. Pod niebem ze skwirem płynął orzeł, ziemią przesuwiał się zwierz. Nie wadził wodzie pasterz ni myśliwy czy drwał, co las „króci“. Dawno, drzewiej za królewskich czasów raz jeden nałożono jej jarzmo i kazano w cieniu pyszniańskiego boru, w śrybelni ciężkie koło ruszać, młyńskimi kołami srebrną rudę kruszyć. W hamerniach kuźnickich, dokąd hawiarze rudę zwozili przetopioną — ciężki wodny młot kuł. Dawno! Już na tym miejscu las porósł, a młynarza ze śrybelni ciężkie młyńskie koła przygniotły.

Nie wadził wodzie człowiek, stanął dopiero na przeciw niej w dolinie, gdzie rozłożyły się wsi.

Na wysokim brzegu, w cieniu jaworów i świerków było jego mieszkanie. Chałupa tak dostojna, jak niegdyś, za Chrobrego, grodzisko drewniane, na węgiel z szerokich wiązana płazów, górą rysiami zdobna. Wyszukał „budarz“ owe płazy w puszczy górskiej, smreki wyszukał „najhrubsze“, co konarami nisko do samej ziemi przypadły i rozszczepiwszy je wzdłuż rdzenia, wygładziwszy cierpliwy, zrąb stawiał z czterech do pięciu płazów. Strzechę na zrębie kładł wy-

soką, stromą, żeby nie zgmiotły jej śniegi, strzechę dranicową, z szerokim okapem. Szczyty patrzą pięknie wyciętymi otworami „we wietek i miesiąc“, zakończone wspaniałym pazdurem, co jak „tulipon abo leluja“ rzeźbą rozkwita. Zrąb, wsparty na groniówce, mieni się do słońca głęboką, czerwono-brunatną barwą, wypaloną słońcem tyłu lat.

Pośrodku ściany dźwierzę półkoliste, kołkowane na wiązaniu w półkola, szalowane „we wschodzące słonko“. Rzadko, w zapadłych wsiach Gubałowskiego, spotyka się na nich przybity ciężki żelazny krzyż, w kuźnickich hamerniach kowany. To napewno cha-ta, którą stawiał praszczur — hawiarz. Osadzone są te ciężkie dźwierzę czopem w drewnianej „zabce“, zapierane na kunsztowną zaworę, otwieraną drewnianym kluczem. Okienka niewielkie, w których szyby od starości tęcząją, mają u góry pięknie wycinaną obitkę i patrzą w daleki górski świat.

Z sieni wchodzi się do czarnej z lewa, do białej izby z prawa.

Czarna, w której płynie życie codzienne, osmędzona dymem, lśni w miejscach, gdzie plecami wytarto płazy, jak najświetniejsza laka japońska. Zdobi ją szeroki ryzowany sozręb, dźwigający sozrębiki i fazowane deski pułapu. Nagromadzony tu sprzęt gospodarski: łyżnik, warząchwie, czerpaki, nawet kijań ryzowane zdobnie, na podziw. Popod ściany biegnie ława szeroka i gruba z brzostowej albo „jasieniowej“ deski, w rogu, w „pazusze“ stół.

Strojniejsza, bogatsza, więcej na pokaz jest izba biała, odświętna. Sozręb „siumniej“ rzeźbiony, pod sozrębem półka, nierzadko polichromowana, na niej rzędem obrazy, dawniej malowane na szkle. Na kołkach odzież święteczna, kozuchy, serdaki, cuchy sołtysie, gorsety i spódnice. I tu ława szeroka i biała, w pazusze stół na srogach, związanych zastrzałami z jaworową lub brzostową „stolnicą“ szeroką, nierzadko z jednej deski zrobioną. Stolnica ta jest ruchoma i tylko przez jej przesunięcie można się dostać do skrzynki, zastępującej szufladę. W kącie skrzynia malowana wzorzyście w kwiaty, z płótnem, bieliną, nierzadko kryją się w niej korale, ze stanisławowskim talarem na końcu bicia. Korale „rodowe“.

Jest i kredens albo półka na naczynie, gdzie na widoku stoją malowane talerze i dzbany barwione, z prześliczną polewą, o formach nader szlachetnych. Drzewo, metal, odzież — wszystko zdobione starannie „do cudu“.

Gazda w białej odzieży, w obcisłych „portkach“, z wyszywanymi bogato parzenicami, w opasku z mościeżnymi okuciami, sięgającym nieraz po pachy, w białej koszuli spiętej na piersi spinką „srybelną“, wspaniałą jak ryngraf rycerski, w serdaku lub cusze białej, obuty w kierzce z jednego kawałka skóry, przemyślnie rzemieniem wiązanej „w nosek“, z owijkami — rzemiennymi, sięgającymi wyżej kostek, stoi na brzegu i patrzy w bystre, spienione wody.

Rozważnie patrzy w jej nurt przegadując jak do żywego człeka:

„Jo ci haw musem zastompić, bobyś mi ujena na wiesne grontu, wis. Tu sie zrobi tame, coby cie odbiła ka trza. Haw by sie zdało wirby nasadzić. Nimas na wode jak wirba. Pazdurami sie ziemecki trzimie“.

Odbita człowieczą przezornością, wpada na jaziska oddając cichym zalewem hurt swej wody innemu gaździe, który młynek nad wodą postawił. Obraca srebrnym ramieniem koło przemyślne, w którym gwoździa „nie uświadczysz“, „rzeze“ drzewo na deski, ziarno miele. Nie gniewa się woda na narzucony jej trud — do czasu. Innemu porusza ciężką, foluszną stępkę, ubijającą wełnę na sukno. Pracuje.

Ostatnimi czasy znalazł się „študer“, który kolejkę linową „uzdajał“ i na wysoki wierch, na „grapę“ nawóz wywozi, a z wierchu — siano do szopy.

Woda pracuje. Jak młody źróbek przedwcześnie kielznany, zżyma się i pieni po białych kamieńcach. W brzegach wysokich, na których w ciepłe drzemia jałowce, kłania się przydrożnej kapliczce, niewysokiej wieżyczce ze skrzyżali, w której Chrystus Frasobliwy podparłszy głowę dłonią, poziera srodze utrudzony w błękitny świat.

Mostków pilnuje, na słupku stojący, Święty Jan w białej komeżce, czarnobrody.

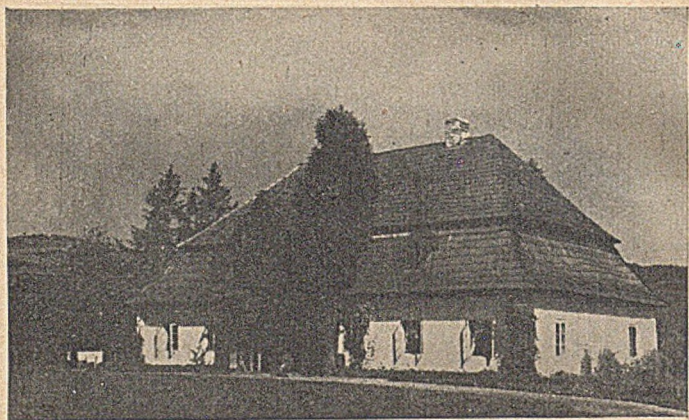
Mija woda osiedla i wsi. Witów. Chochołów bohaterski, kędy ksiądz Kmietowicz „z organistym poru-



„Niby włosy anielskie spadają bogate, brylantowe sznury potoków“...



„Na wysokim brzegu, w cieniu jaworów“...



„Biały dwór, w którym przed laty przebywał Seweryn Goszczyński“...



„Kłania się przydrożnej kapliczce, niewysokiej wieżyczce ze skrzyżali“...

seństwo zrobił“ przeciw zaborcy, chochołowskim powstaniem zwane. Wypływa na rozłogi płaskich, torfiastych pól, kędy wiosną „tulają“ cietrzewie i zapadają dzikie kaczki. Ciemnieje wodzie Dunajcowej lico od tych torfów i jedynie na spadziznach błyska srebrem pian. Rzędem idą chałupy Koniówki, Podczerwiennego, aż woda dotyka ramieniem Czarnego Dunajca, miasteczka, które od jego wartu nazwę piękną przybrało. Poziera oknami ku Tatom, ku Białej Górze, ku Suhej Horze. Świeci wysoką wieżą kościelną miasteczko prastare, nad dawnymi dumające czasy.

Jest o czym dumać. Mijając skałki Rogoźnika wspomina dańczowski przywilej z roku pańskiego 1234, kiedy to: „My, Henryk, z bożej łaski ksiązę krakowskie i szląskie, obwieszczamy wszem wobec i w przyszłości, że przychylając się do prośby pana Cedrona, wojewody krakowskiego, pozwalamy mu: założenie osad prawem teutońskim, w lesie nad rzekami zwanymi Ostrówka, Dunajec Czarny, Rogoźnik, Lepietnica Słona, Ratajnica, Nedelska, Stradomia nadając mu tego lasu, ile stanie“.

Nie stało Cedry Gryfity, nie stało lasu, czas nad wszystkim przeszedł.

Tu w Rogoźniku krakowskiego wojewody Cedry brat, Jaxa, haniebnie męstwa w wyprawie krzyżowej zbywszy na bratowej darowiźnie osiadł.

A było tak: „Henryk zaś pociągnął na wyprawę krzyżową z Prusakami, z Leszkiem Białym, z bisku-



py, z drużyną książąt. Jaxa Klimontowicz Jędrzejowski, Gryfita, wiódł przednią straż z Małopolan złożoną. Przy pierwszym spotkaniu zmieszał się i pierzchnął, za nim poszli rodowi jego gryfici, porażone Małopolany sromotnie“ (Morawski).

Schronił się więc w lasy nieprzemierzone, grodek drzewny skleciwszy osiadł na dusznej pokucie, wśród bagien i torfowisk, melankolią żarty.

W smutku, w ciemnościach boru i duszy, wzrastał syn Jaksów, Sulisław Gryfita, aż powołanie na księdza poczuł. By zaś potrzebne na nauki fundusze zebrać, jako i na daleką do Padwy podróż, ojców Rogoźnik stryjowi a wojewodzie krakowskiemu, tych ziem dziedzicowi, ustąpił, co nowym aktem przypięczętowano.

„Ponieważ czyny ludzi choć rozumnych, jednak przez starożytność, oną zapomnienia macierz, częściej błędnie bywają wykładane.

„Dlatego więc My, Henryk, z bożej łaski książę szląskie i polskie, obwieszczamy wszem wobec i na przyszłość listem niniejszym:

„Że wobec wieców naszych i wiecników naszych, Panu Cedronowi, wojewodzie krakowskiemu, brataniec jego imieniem... (Sulisław) wieś nazwaną Rogoźnikiem za pewną ilość pieniędzy, od rzeczzonego pana złożonych, w wieczyste zdał posiadanie.

„Ponieważ zaś rzeczony pan, miłością ku bratańcowi swojemu zdjęty, dodał mu nadto: 2 woły, 6 łokci sukna brunatnego i skórki lisie gwoli temu, aby się

na onej wsi użytkowanie zupełnie nie oglądając, w zupełności mu ją zdał“... i t. d. (Morawski)’.
Gdzież Gródek Rogoźnicki — gdzie Padwa?

Obmywają czarnodunajeckie wody mury kościoła Ludźmierskiego, przez Cystersów na tym samym miejscu, choć w innej wzniesionej postaci.

Osadzał ich tu ów krakowski wojewoda, Cedro Gryfita, w owych lasach na „borach“, na bagnach rosnących, w krainie ciemnej, prawie pogańskiej, zbójeckiej, pełnej zwierza i ludzi ślebodnych, nieokiełznanych, żyjących z łowiectwa i rozboju, wśród ustawicznych zamieszek polsko-madziarskich.

Osadę na prawie teutońskim fundując Ludźmirem ją nazwał, w dzikim i niemirowym bowiem było to kraju.

Nie zaznali tu miru Niemce-zakonniki, choć bowiem klasztor jak twierdzą pobudowali, choć strzegły murów klasztornych straże i zbrojne chłopcy, leśni ludzie podhalsecy życie im zatruwali ciągłymi napadami, aż się wreszcie zniechęceni z onego Ludźmiru wycofali do Szczyrzyca.

Przepłynęło z wodą. Czasem tylko zadziwi się gazda, torf kopiący, kiedy mu pod łaptą zabłyśnie jakiś metalowy ułomek oszczepu, szerniała ostroga lub róg łosia, czy tura. Nie pamięta, nie wie, dziwi się. Jedna czarnodunajecka woda pamięta.

Śpieszy się, omija niskie nadwodne łągi, kędy gęsi jak śnieg się bielą i małe pasterki, siedząc w kucki na zimnej ziemi, dla rozgrzewki śpiewają. Dziś śpie-

wają tej ziemi ludzie tu zrodzeni, z góralskiej chałupy. Gdzieś z sąsiedniej wsi Jedlicz Kapuścieński, zachwycony jej czarem, mówi z duszy:

„W niemej słońca spiekocie stoją złote kłosa,
Bursztynowymi usty całują niebiosy.
Słońce, dyszące żarem szczęścia i zachwytu,
Tka bez przerwy wieczyste przędzywo błękitu“.

Ówdzie Feliks Gwidźdz, pisarz-poeta, kreśli swoje „Obrazki na szkle“, wpatruje się w potrzeby swego ludu i prosto od pióra przerzuca się do spraw społecznych i politycznych z pasją niewyżytej góralskiej tężyzny. Poseł, potem senator oddaje wszystkie siły swej ziemi współpracując równocześnie z braćmi Słowakami za granicznym wałem górskim.

Zachemski Antoni z Odrowąża podejmuje pracę pedagogiczną ucząc, prócz innego obowiązku, miłości i szacunku dla ojcowizny i poświęcenia dla niej wszystkiej swej wiedzy i siły. Rozpala niezmeńczonym sercem Ognisko Podhala.

Gdzież jak nie w Ludźmierzu Kazimierz Przerwa-Tetmajer od dziecińskich lat rósł, zapatrzony w hyrną jej przeszłość? Z tej ziemi wziął tworzywo do najpiękniejszej epopei o ziemi i człowieku, jaką mógł wyśpiewać człowiek.

O tym wiemy już i my, i woda czarnodunajecka. Płynie ku Nowemu Targowi cicha i zadumana.

III.

Śpieszy ku niej biały brat, Biały Dunajec. Przez Poronin, Biały Dunajec, Szaflary.

I one Cystersom przynależały ludźmirskim, czy później szczyrzyckim. Mówi wieść, że kiedy Cystersi Ludźmirz opuścili, schronili się chwilowo w szaflarskim, zameczku, a potem dopiero odeszli do Szczyrzyca. Królowie chcieli widzieć na pograniczu grody i gródki obronne i zbrojne, i pilnie przykazywali, by właściciele tych ziem do ich obrony się stroili grodząc drogi wrogom.

Roku 1380 Szaflary odebrano Cystersom szczyrzyckim, a to za tych zaleceń przekroczenie. Nie tylko bowiem nie dbali o umocnienie zameczku, ale ów żydowi wydzierżawili, który nocną porą we własnej mincerni fałszywą monetę kuł.

Obległ go tam z rozkazania królewskiego starosta krakowski, Sędziwój z Szubina, i przykładnie spalił, wsi klasztorne zajął; Ludwik Węgierski przez nich błagany, dwie im tylko oddał, resztę trzyma sam. Osiedli tam Ratułdowie, co z Komorowskim później spór wiedli. Dawne dzieje.

Śpieszy Biały Dunajec do Nowego Targu, gdzie połączywszy się z Czarnymi miasto w widły bierze.

Prastare miasto. W czasach kiedy Podhale było własnością monarchy, istniała gdzieś w nowotarszczyźnie droga, łącząca Polskę z Węgrami. Jej śladem to pierwsza osada „Cło“, którą później zastąpił Nowy Targ, przez Cystersów założony. Istniało już zatem w wieku XIII odgrywając niepoślednią rolę w dziejach Podhala, jak każde miasto przygraniczne, a tu tym bardziej, bo szło o sąsiednie Węgry, ważny handlowy trakt na południe. Podnosiło się zwolna owo osiedle, zrazu rolnicze, przyjmując pomału na siebie pośrednictwo handlu z Węgrami, kupcząc solą i winem. Przeżywało jak i cała Ojczyzna wszystkie wstrząsy, które mniej lub więcej odbijały się na jego życiu. Przeszły tu pod Krauszów Tatarzy, dokuczyły wojny szwedzkie, fala potopu razem z Kostką Napierskim otarła się o miasto. Niszczyły je pożary, mory. Odbudowywało się i zaludniało na nowo przechodząc swe wewnętrzne dzieje, bujne jak zwykle na kresach. Klóciło się i procesowało z dzierżawcami czy starostami, buntowało lub kładło uszy po sobie, gdy się za nie przelewało, broniło przed zbójnikami, żyło.

W dzisiejszej swej postaci, ciche to miasteczko, przeważnie drewniane, o swoistym typie budowli, w miarę brudne a wielce ambitne. Nosi ono na całym Podhalu jedno jedyne miano: miasto.

Kiedy gazda mówi: „jadę w miasto“, należy rozumieć, że jedzie do Nowego Targu. Jest ono, jak żartobliwie podpatrzył i opowiedział Orkan, dla Podhala tym, czym dla świata: Urbs czyli Roma.

Miało ono gdzieś nad Czarnym Dunajcem swój gródek, z którego ani ślad nie pozostał. Wyżej gródka wznosi się kościółek św. Anny, podobno w XIII wieku ufundowany — przez zbójników.

Z obszernego rynku miasteczka idą drogi na Orawę, ku Tatrom — a ta uwieczniona w piosence:

Wiedom ci mie, wiedom, siaflarskom ulicom;
Kany ci mie wiedom — ku tym siubienicom.

Widno niejeden zbójnik, choć tam może i fundatorem kościoła bywał, na haku na nowotarskim rynku zawisnął.

Inna droga wiedzie ku Obidowej „w Polskom“, stamtąd bowiem — przez Gorce — przyszła tutaj Polska. Wreszcie Waksmundzka ulica, idąca ku Piecinom i Spiszowi, wzdłuż Dunajca.

Za mostem aleja starych modrzewi, ocieniających ulicę, kończy się u wsi Waksmund. Już nazwa wskazuje na pochodzenie osadnicze i od Cystersów.

Odsłania się za wsią kraj przedziwny. Na prawo zębata piłą błękitnieją wysokie Tatry, cały ich łańcuch położył się wzdłuż doliny, którą płynie Dunajec. Z lewa Gorce z Turbaczem opadają ku wodzie jałowiznami wyciętych lasów, na których jedynie jałowce trzymają straż nad żółtymi nitkami ścieżynek. Po groniach bieleją przydrożne kapliczki. Szosa drzemie w słonecznym pyłe pod warkoczami brzóz, tulących w swym cieniu Ostrowsko. Wspierają się o siebie chałupy, oddzielone od ulicy ogródkami, okna zaciem-

niają malwy wysokie, kolorowe dalie, floksy i złote rudbekje. Na kamieńcach nad Dunajem krzyczą gęsi, powietrzem śmigają rybitwy. Rybak-sportowiec, łowca pstrągów i łososi, biczuje wodę wędziskiem stojąc po biodra zanurzony w srebrnym nurcie. Mija go kolorowy kajak, płynący ku Pieninom. Wielkie łąchy piasku i kamieńców oślepiająco odbijają blask słoneczny, drży nad nimi rozgrzane powietrze.

Za Ostrowskim wpada do Dunajca Leśnicki Potok, płynący od Tatr szerokim, napoły wyschniętym łożyskiem. W ogromnych wierzbach na Dunajcowym brzegu czernieje łopuszniański kościółek a przed nim biały dwór, w którym przed laty przebywał Seweryn Goszczyński, autor „Pamiętnika podróży do Tatrów“, ich wielki miłośnik.

Z wysokiego obrywu starych dunajcowych brzegów schodzimy do Harkłowej. Sosnowy las otacza ją pierścieniem, rozerwanym Dunajcem. Gorce zbliżyły się ku wsi, niemal przybiegły do kościółka, któremu stróżują ogromne drzewa.

W Dębnie miłosierny los zostawił nam budowlę doskonale piękną, poczętą w XIV wieku, oszczędzoną w czasie wszystkich zawieruch, kościółek pod wezwaniem św. Michała. Późnośredniowieczne arcydzieło drewnianego budownictwa, ze śladami gotyku.

Ogradza go parkan dyłowy, wiązany na zrąb, przykryty daszkiem. Szarzeją i złocą się na nim mchy, dolne dyle zapadły w trawy soczyście zielone, roz-

bręczane pszczołami. Dwie bramki prowadzą na cmentarz.

Cisza. Wielkie, złotopienne sosny pochylają się nad starym kościółkiem, biorą go w opiekę przed wszelką burniawą. Spadzisty, szerniały dach, z misternie wyrzynanym grzebieniem, kryje gorąco brązowe ściany. Pod nimi przysiadły soboty cieniste, chroniące podwalinę od śniegu i dżdżu.

Wchodzimy do chłodnego wnętrza wrotami wieży przysadzistej, z nadwieszoną izbicą.

W przyćmionym świetle wnętrza migocze wieczna lampka i połyskuje stare złoto ram. Jedyna nawa zwęża się w prezbiterium, przecięta w poprzek tęczą. Nad nią zwiesza się od stropu delikatna koronka, wyrzynana z desek, belka tęczy wsparta na kroksztynach, zdobna również w wyrzynania, wiąże się ze stropem wysokim krzyżem na kształt gałęzistego drzewa, na którym rozpięty polichromowany Chrystus. Przedpiersie chóru tak samo zdobione w kształt trójlistnych wycięć gotyckich. Listewka, wiążąca deski, kończy się ostrym grotem.

Ściany, powałę i koronki zdobi polichromia, nadająca przedziwny czar wnętrzu. Cztery wieki temu wykonano ją temperą. Płyną na deskach i listwach malowanych (każda z osobna) desenie geometryczne, kwiatowe, kobiercowe — zmieszane z figlarnymi.

Tu święty Jerzy godzi w smoka, ówdzie drużyna rycerska wyjeżdża na łowy, lecą powietrzem gołębie, skaczą jelenie. W mroku srebrzy się Orzeł biały.

Wnętrze spatynował czas, zawiły deseń wzorów lśni jak najwytworniejszy stary dywan.

W świetle okienka delikatnie połyskuje złoto gotyckich ram tryptyku w głównym ołtarzu. Malowidło nieprzeciętne, również temperą na złotej wykonane desce, pięści oczy.

Chlebno kadzielny zapach nasycza stary kościółek. Przez otwarte wrota wieży widać jaskrawą zielen cmentarza. Nad Tatrami głucho grzmi południowa, letnia burza.

Cicho, na palcach opuszczamy Piękno.

Przystajemy na chwilę na moście przed Hubą. Woda w Dunajcu ściemniała od dalekiej chmury. Przed burzą idzie głęboki, zimny oddech, marszczący wodę. Rybitwy jak szalone śmigają nad tonią. Nad Gorcami wielkie, wzdęte, barokowe obłoki śnieżnosrebrne dźwigają się coraz wyżej i wyżej. Wspaniały, szeroki, górski świat.

Z za wysokich wierzb nadwodnych prześwieca biała koronka attyki frydmańskiego kościoła. Na ciemnym tle chmury jest oślepiająco biała i jakby wyższa. Tam leży skrawek ziemi po wojnie nam wrócony: Frydman, Trybsz, Czarna Góra, Rzepisko, Jurgów, Łapsze niżnie i wyżnie a pośrodku: Krempachy, Falsztyn, Dursztyn i Niedzica.

Wydstajemy się na Maniowskie Wzgórze. Burza przeszła nad Czorsztyn. Nisko w jaskrawej zieleni różowieje na granatowym tle chmury zwalisko zam-

ku pod obłęką tęczą. Najpiękniejsza, romantyczna
kraina. Dunajec błyszczy jak stal, chylają się nad
nim, kłonię burzą, wierzby. Pienińskie góry, ską-
pane dżdżem, malowane błękitem, zamykają widno-
krąg.

Z lewa wysoki Lubań, zwałony buczyną, stróżuje
krainie pięknej jak ze snu.

IV.

Czorsztyn. Nadgraniczna strażnica, zamczysko polotne i śmigłe, patrzące wyłupanymi oczodołami ze skalnego gniazda we wszystkie strony świata. Wsparcie stopami o skalistą caliznę połupaną i wietrzejącą, obronne szeroką piersią murów, w załomach chwieją się, zasiane wiatrem, brzozy i jarzębiny, trwa przeżywszy własną świetność, oddane burzom i dżdżom a przecie niepokonane.

W zamierzchłych, może Chrobrowych czasach, stróża graniczna, stróża króla, który szlakiem „alpów sarmackich“ od południa każdy szczyt górski grodziszczami stołpił, ziemi ku obronie.

Wiemy jednak, że podkoniuszy Konrada Mazowieckiego za Henryka Brodatego, który rytterów nad Dunajec sprowadził, tegoż Czorsztyna był panem i zapewne budowniczym.

Zrazu była to mała, nieznaczną budowla składająca się ze stróży czyli wieży, obok niej dziedzińczyk, otoczony murem obronnym, bez żadnego wejścia. Obrońców i mieszkańców wyciągano do wnętrza na sznurach. Okolicę alarmowano watrami płonącymi na szczycie stróży. Niepoślednia to jednak musiała być budowla, skoro powierzył jej bezpieczeństwo swej

osoby Bolesław Wstydlivy w czas tatarskiej zawieruchy.

Dzisiejszą basztę i mur ochronny pobudował Kazimierz Wielki znacznie rozszerzywszy górny zamek. Przeżywa on wówczas swój okres świetności, zdobi się posadzkami i malowanymi jak na królewskim zamku — stropami.

Błyszczy do słońka szklanymi gomólkami, oprawionymi w olów.

Otwierają się jego wrota królowi Jagielle, który z wysokości murów ku Tatrom poglądał.

Otrębują trębacze wjazd młodziutkiego króla Warneńczyka, który śliczną głowę w cudzynie nie wieczny sen położył.

Odpoczywa w nim król-wędrowiec Jan Kazimierz.

Szedł ku Czorsztynowi od Polski poprzez Gorce trakt lesisty, którego ślady do dziś dnia w Gorcach jeszcze widno, chociaż zarósł jodłami i buczyną. Zza potężnych pni patrzyły czarne oczy górskich i leśnych ludzi na żelazem kute poczty rycerskie, co się ku zamkowi przebierały. Nieraz przejeżdżał nim rycerz bez skazy, wędrowiec wszystkich ziem, Zawisza Czarny, pierwszy czorsztyńskiego zamku starosta. Dymiły w puszczy limierze czarnych węglarzy i nieraz dźwięczały groty strzał na kowanych pancerzach.

Wysypywały się z zamecznych wrót drużyny rycerskie na łów — w puszcze czarną, na płowego jelenia, na mrukliwego niedźwiedzia, na krótkorogiego tura. Na wysokiej baszcie beztrosko gnieździ się orzeł leśny.

Zatrzaszkiwano wrota na głucho, kiedy w cieniu lasów przesuwały się watahy tatarskie, węgierskie, szwedzkie. Z wysokich blanków pozierają czujnie oko strażnika w dunajcową dolinę.

Widziały te mury szaleńczy zryw Stanisława Kostki Napierskiego, nieszczęsnego rebelianta, który na tyłach udręczonej kozacką wojną Rzeczypospolitej, wzniecił bunt chłopski z poduszczenia Chmielnickiego, z Tyńca na Podhale przybywszy.

Srogie rządy starosty nowotarskiego, Mikołaja Komorowskiego, wywołały wśród górali wrzenie, co w czasie wojennym zawsze jest ze szkodą dla spokoju osłabiając obronną siłę państwa.

Nie zważał na tę kardynalną zasadę pan starosta Mikołaj Komorowski. Ciemnizył górali nawykłych do „ślebody“ nakładając na nich ciężary ponad prawo i możność. Naciskał na sołtysów odbierając im ich, pergaminami królewskimi zawarowane, uprawnienia. Skarżą się sołtysi na spychanie ich do roli włodarzy starościńskich. Skarży się klikuszowski sołtys, Czerwiński, czarnodunajecki Mientus. Bicie, więzienie, rabunek żołdacki, spowodowały wybuch „poruseństwa“ przeciw starości. Komorowski doprowadził do otwartej wojny. Obozem stanęli górale pod Klikuszową. Ich parlamentariusza, sołtysa Czerwińskiego, nie uszanował starosta wedle wszelkich prawideł wojennych, ale po rozgromieniu jego dobytku, kazał go w Nowym Targu na koło wpleść. Żali się Czerwiński, iż:

„całą noc na kole musiał mękę cierpieć, a potem nazajutrz we troje go skowali, za szyję, za ręce i za nogi, i do ciemnicy go wrzucili, i z tymiż okowami, gdy wyjeżdżał potem starosta, wziął go ze sobą do Oświęcimia, i znowuż go do ciemnicy w tychże okowach wrzucić rozkazał“.

Na czoło rebeliantów wysuwa się Stanisław Łętowski, dla swej roli marszałkiem zwany. Dla tej właśnie roli, ścigany jest przez Komorowskiego jak zwierzę, mimo ochrony glejtu królewskiego, który sobie pan starosta tak lekceważył, iż do uprzywilejowanych przez siebie nowotarżan pisze:

„Marszałek, jeśli się tam czyni drugim starostą, rad wiem o sąsiedzie: takich sąsiadów na pal wbijają, ćwiertują i na haki wieszają, będę się pytał, skąd mi tę potestatem dano?“

Napewno nie pytałby się Komorowski, gdyby marszałka w ręce dostał.

Chwytał się Komorowski sposobów i takich — z zemsty na skargę gazdów przed komisarzami królewskimi — czarnodunajczanina, Klemensa Mientusa, uwięził jako rzekomego współnika zbójckiego napadu, dokonanego przez zbójnika Marka razem ze sołtysem Grzegorzem Dzielskim z Działu i innymi zbójnikami — napadu, mającego pozbawić pana starostę miłego życia. Kiedy Marka zbójnika na konfessaty wzięto, przed jego egzekucją — widząc, iż i tak życia zbędzie — wypowiedział się, niewinność uwięzionych wykazawszy.

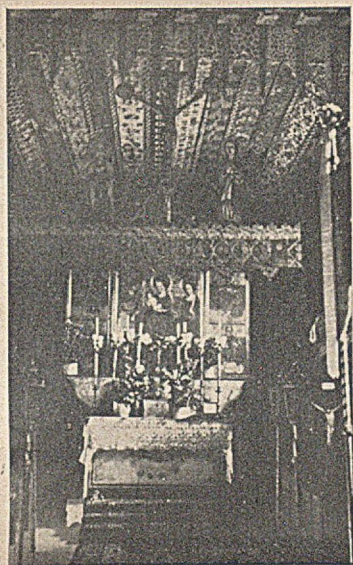
Ucierpiał od starosty własny jego podstarości Zdanowski, rugowany ze Zubu i Jastrzębia, wsi przez siebie założonych.

Dla uśmierzenia jawnego buntu i na skutek delegacji góralskich wysłanych do samego króla, wkroczyli w sprawę komisarze królewscy. Ustalone przez komisję warunki zostały odrazu złamane przez butnego starostę i wtedy połała się krew góralska.

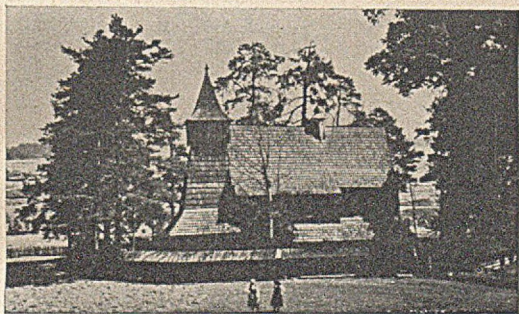
Proces walki o ślebodę zamyka śmierć Komorowskiego, ale nastroje wrogie szczególnie władzy szlacheckiej nurtują wzburzoną góralszczyznę.

Nic też dziwnego, iż Kostka Napierski podając się za emisariusza królewskiego, zwołującego na rozkazanie królewskie masy chłopskie przeciw rozzuchwalonej szlachcie, znajduje gorące przyjęcie. Przyjmuje go sędziwy Zdanowski, a skoro progi domu, tego na czci niepokalanego czleka, przyjęły Napierskiego, otworzyły się mu wszystkie drzwi i serca góralskie. Ujął je sobie także niepomiernie tym, iż dwu zbójników, skazanych w Nowym Targu na gardło, od haniebnej śmierci wyzwolił odwołując się do sławetnych mieszczan, że w czasie tak wojennym przydadzą się i to bardzo w szeregach obrońców.

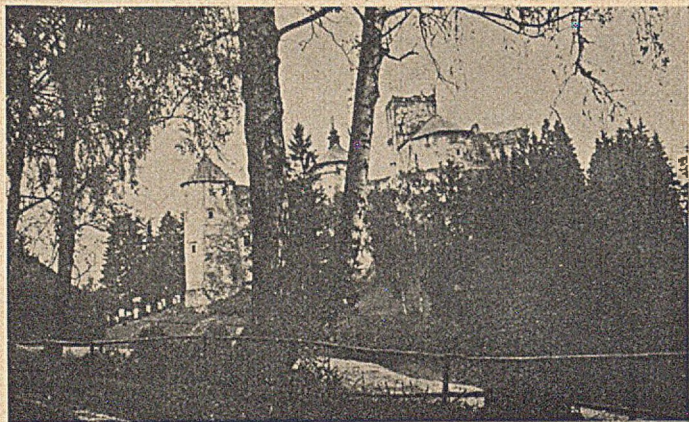
Pozyskał sobie Napierski uporczywego obrońcę swobód góralskich Marszałka Łętowskiego, pozyskał czarnodunajczan, Mientusów, Jarząbków, Krupów, pozyskał wreszcie rektora Radockiego, Marcina z Pcimia, a mając za sobą podstarościę nagle zajmuje Czorsztyń niczym nie broniony, jako że starosta, Pla-



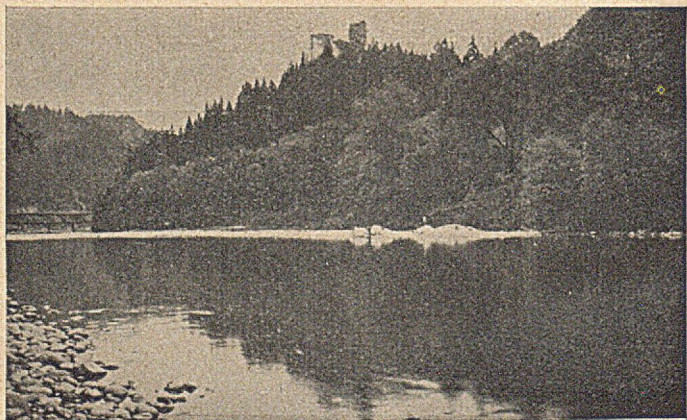
„zawily deseń wzorów łśni jak najwytworniejszy stary dywan“...



„wielkie złotopienne sosny pochylają się nad starym kościołkiem“...



„przez konary brzozowej alei przeświecają mury zamku, ujęte w baszty“...



„Z nad lasu sterczy w górę jak turnia baszta Niedzickiego Zamku“.

temberg Jerzy, zamek żydowi wydzierżawiwszy bądź na pokojach królewskich, bądź w obozie bawił. Zatem, dnia 14 czerwca 1651 roku, Napierski stał się panem Czorsztyna mając za sobą lud góralski, zbierający się w gromady i oczekujący pilnie kiedy na czorsztyńskiej baszcie zapłonie watra wiciana.

Dywersja Napierskiego wywołała w obozie wojennym, parającym się z Chmielem, naradę. Postanowiono dywersję tę stłumić tym bardziej, że z całego podgórze, od Sącza, Jasła, Krosna, szły niepokojące o rebelii wieści, lecz nim ekspedycja ruszyła, podstarości krakowski Śmietanka, wraz z biskupem Gębickim, wysłali dobczyckiego starostę Jordana — otrzymawszy od pisarza Gniewosza owe okropne o buncie wieści — który zajawszy z Nowego Targu dragonów w małej liczbie pod Czorsztyn ruszył.

Nie spodziewał się Napierski tak szybkiej reakcji rozgniewanej Rzeczypospolitej, widząc jednak tak małe siły dworował sobie z Jordana z wysokości czorsztyńskich murów. Nadomiar tego gruchnęły wieści, iż czarnodunajczanie z odsieczą śpieszą.

Odstąpił tedy Pan Jordan spod murów. Rozpalony łatwym zwycięstwem, pisze Kostka Napierski jawnie manifesty, podburzające do otwartej walki.

Nawracają jednak wzmocnione siły wojskowe i oblegają Napierskiego. Rozpaczliwa obrona kilkunastu chłopów załamuje się. Oblężeni, za cenę głowy Kostki, Marszałka i Radockiego, wydają zamek.

Ginie Kostka Napierski na palu w Krakowie, oddał gardło Marcin Radocki, ścięty i ćwiartowany po śmierci, ginie uparty obrońca ludu podhalańskiego Stanisław Marszałek Łętowski.

Opowiedziałyby mury Czorsztyna o upartych obrońcach, konfederatach barskich, którzy w jego zniszczonych murach honoru Ojczyzny bronili.

Zamek, jak Ojczyzna piorunem uderzony, spłonął i rozpadł się w gruzy.

Wysoko nad zgliszczami niósł się orzeł nad płonącym gniazdem i popłynął w siną dal czasu.

Sterczy potężna baszta czterogranna i pusta, ze spalonymi stropami i dachem. Patrzy w dalekie Tatry i duma. Kołyszą się na jej szczycie trawa i krzewiny karły. Zwalone i starte w pył komnaty nad murem. Część ściany sterczy jak obnażona kość. Zapadły się sklepienie piwnice, przez wrota nie wejdzie drużyna rycerska, nie zagra trębacz na królewski wjazd. Na murze obronnym, skąd dawno opadły blanki, nie widać strażnika, nie słyhać jego miarowego kroku. Dolny zamek zapadł się w ziemię bez śladu. W gąszczu młodych świerków i jodeł sterczy fragment okrągłej baszty przybramnej. Śród zwalisk błędzi zapach macierzanki i dosyt gorącego lata. Kołysze się trawa pod ciepłym wiatrem wieczornym i grają koniki polne.

Schodzimy w dół, mała dziewczynka, która mi towarzyszy, mówi:

Widzisz, teraz mamy Polskę, czemu nie odbudujemy zamku?

Cóż mam odpowiedzieć rozmarzonemu dziecku? Oglądam się na wyniosłą sylwetę i jest mi czemuś smutno.

Wieczorną chwilą usiedliśmy nad dunajcową wodą pod wysoką skałą, o którą uderza nurt rzeczny. Woda gwarzy. Dziewczynka bawi się amonitem, który utknął w lepiszczu, ileż temu lat?

Rozmawiamy o morzu, które tutaj rozbijało swe ciepłe fale.

Tak, było tutaj morze, potem to i tamto, — mówi mała dziewczynka — i Tatarzy, i Zawisza Czarny, i zbójniki, a teraz jesteśmy my.

Właśnie.

Robaczki świętojańskie kołyszą się wśród łozy. Pachnie rosa.

V.

Wstaje słoneczny, rażny dzień. Na skale, z drugiej strony Dunajca ciemna ściana lasu rzuca na wodę głęboki cień. Płynie w cieniu zielona i cicha. Raz wraz wypryskują w górę srebrzyste pstrągi.

Z nad lasu sterczy w górę jak turnia baszta niedzickiego zamku. Pękła od pożaru na poły obnażając wnętrze bez podłóg i stropów. Jakaś belka sterczy jeszcze jak złamane ramię, puste okno oszklifo się błękitem nieba. Czarne świerki i jodły obejmują biodra budowli i szumią.

Zwał się kiedyś „Dunajcem“ Dunajecki Zamek i tutaj to wyliczano grosze zastawne za piękną ziemię spiską, która stała się ziemią naszego pierwszego rozbioru. Dziś w znikomych cząstkach wraca do nas. Posuwamy się pod górę. Przez konary brzozonej alei przeświecają mury zamku ujęte w baszty. Tam, gdzie niegdyś był most zwodzony i fosa zamkowa, dziś droga doprowadza do bramy zdobnej herbem. W dziedzińcu chłód. Arkadowy chodnik strażnicy krwawi się kwitnącymi pelargoniami. W niebo godzi wielopromienny krzyż na baszcie kaplicznej. Cóż, nie jesteśmy tu mile witani. Zamek jest w części zamieszkały, więc trzeba się wycofać.

Zresztą wołają nas woda i góry.

Pod mostem na wybrzeżu ruch. Słychać cygańską kapelę, raz po raz zajeżdżają auta, maszerują wybieczki. Flisacy pienińscy w białych „portkach“, z czerwono wyszywanymi przyporami, w niebieskich, bogato haftowanych kamizelkach, sprzęgają czółna dłubane w topolowym pniu. Raz wraz odbijają trzy lub cztery, związane ze sobą, pnie czółen, umajone jedliną. Niesie je na sobie dunajcowa woda ku Pieninom, do parku narodowego.

Siadajmy i my. Oddajmy się mocnym rękóm flisaków i płynmy. Jesteśmy oślepieni słońcem, ogłuszeni kapelą, krzykami pozostałych w porcie. Za chwilę odbijamy od brzegu i niesie nas woda na srebrnej fali. Zwolna wyrasta raz jeszcze nad nami Dunajecki Zamek i znika za zakrętem. Z lewa góry lesiste i drożyna do Sromowiec, z prawa nad lasami Tatry.

Dzieciaki, pilnujące gęsi na kamieńcach, na widok łodzi rezolutnie zakasują koszuliny i wszedłszy w bystrzyny przepuszczają nas pod leszczynowymi wioskami, zdobnymi w papierowe kwiatki, trzymając je w drobnych rączkach i mężnie walcząc z prądem. Stary cygan, dobrze przypruszony siwizną, tkwi w nurcie grając na skrzypcach.

Nareszcie płyniemy sami w słońcu i ciszy. Widok zrazu monotony, urozmaica jedynie zainteresowanie, jakże my to przepłyniemy przez ten wart co przed nami kipi, co będzie dalej za tym zakrętem? Tak dobijamy, po długiej jeździe mijając w Sromowcach piękną

szkołę harcerską, umieszczoną w stylowym domu, do Sromowiec niżnich, właściwej przystani łodzi i fli-saków.

Naprzeciw w ogromnych lipach widać klasztor kartuski w Lechnicy, zwany Czerwonym. Nad nami piętrzą się wyniośle Trzy Korony, pod nimi widno schronisko położone u wrót Pienińskiego Parku Narodowego.

Piszę właśnie uszczęśliwiony wieścią, że oba brzegi Dunajcowe w tym precudownym zakątku ziemi należą już do nas.

Wczoraj jeszcze szła granica środkiem Dunajca.

Aby się to stało, trzeba było tylu lat czekania, trzeba było nawet, by zielone dunajcowe wody poczerwieniały od krwi Wizimirskiego, dla zadokumentowania — komu przynależą. Pamięta woda, „wierna rzeka“, każdą jej kropelkę i zwraca nam ją dzisiaj ku chwale Ojczyzny.

Czemże jest ten Pieniński Park Narodowy? Maleńkie skalne gniazdo, umiłowane przez Boga i hojnie przez Niego wyposażone w skały, wąwozy, łąki kwieciste i lasy szumiące. Przerżnięte Dunajcem, który płynie przez samo ich serce, w przedziwnych, nieoczekiwanych skrętach przełomu, trwają — jeden z cudów Polski — pieczołowicie chronione przez naród, który uznał, iż ten Rzeczypospolitej klejnot, przechowany być winien pokoleniom w swej nietkniętej i nigdy już ręką człowieczą nietykanej szacie.

Niewielki obszar kilkuset hektarów, dla oka ludzkiego radość największa, dla ducha ukojenie, idące

z serca górskiej ziemi, dla wiedzy kraik, przez swą różnorodność roślinną i zwierzęcą nader ciekawy, jakże łatwo mógł ulec zniszczeniu, gdyby pozostawał w prywatnych rękach. Wystarczy, by dotknęła go tylko siekiera. Stoki, dzisiaj prześlicznie lesistych, gór zamieniłyby się w piargowisko jałowe, pustynne. Zniknęłyby z lasem niezwykle zespoły roślinne, cofnęłyby się, i tak już nieliczna, zwierzyna i stalibyśmy bezradni nad trupem tego cudu ziemi, którego nie ożywiłoby nic i nigdy.

Jakże gorzko bylibyśmy oskarżeni przez potomność za grzech niedopatrzenia.

Dziś, kiedy wołą narodu naszego i rządu, jak też i wołą sąsiada zabezpieczono przyszłość tych prześlicznych gór i tej najwspanialszej górskiej rzeki; kiedy jesteśmy spokojni, że nad brzegami jej nie powstaną autostrady dla modnego dziś w pewnych sferach, a tak źle wykonywanego hasła „udostępnienia turystyki szerokim masom“; kiedy jesteśmy spokojni, że ziemi tej nie będzie zadany bezwstydnym gwałt, jaki zadaje się niechronionym jeszcze Tatrom, oddajmy należną cześć ludziom, którzy walczyli o ideę stworzenia parku narodowego w Pieninach nieraz bardzo ciężko.

Przypatrzmy się pobieżnie przyrodzie Pienin. Należą do długiego pasma wapiennego, idącego od Orawskich Zamków przez Spisz ku Lubowli, nadając w zasadzie całemu temu pasmu nazwę Pienin. Gdyśmy tak społem przewędrowali od źródeł Dunajca do Pie-

nin, przypomnijmy sobie, że widzieliśmy wyodrębnioną skałkę w Rogoźniku, w Szaflarach, Cisową Skałkę nad Leśnickim Potokiem, wreszcie Czorsztyńską i Niedzicką. Od Czorsztyna do Szczawnicy wyrastają Pieniny w wyraźny łańcuch górski, do 450 metrów n. p. m., rozgałęziają się w Małe Pieniny, a za nimi w Wysokich Skałkach dochodzą do potężnej już wysokości 1052 metrów n. p. m. tonąc wreszcie w karpackich fliszach Wielkiego Rogacza, Radziejowej i innych.

Tkwią na dnie olbrzymiej doliny, zamkniętej Gorcami, Gubałowskim, Magorą Spiską, Radziejową z Wielkim Rogaczem. Dnem tej misy płynie Dunajec, którego wody wypłukały ukryte w dolinie skałki i przecięły przełom jeszcze przed opoką lodową.

Starość pienińskich skałek, spłot innych warunków jak: ukształtowanie, różnorodność gleby, klimat pośredni pomiędzy nizinnym a górskim, wytworzyły nader rzadki charakter flory pienińskiej, jak rośliny wilgotne i suche, stepowe i wysokogórskie, południowe, to znów prawie arktyczne.

Rośnie tu *Chrysanthemum Zawadzki* (złocień Zawadzkiego), jaki spotykamy tylko na Uralu i Syberii. Rzecz oczywista, że roślina ta żyjąc w odosobnieniu w stosunku do tej samej rośliny na Syberii czy Uralu ma odrębny wygląd tworząc już specjalną rasę (endemizm).

To samo stało się z orlikiem pienińskim, piołunem pienińskim, główienką pien. i innymi. Są również ga-

tunki nie endemiczne, lecz mające swych braci w południowej Rosji i na Podolu, lub jak jałowiec sabiński na południu i wschodzie Europy.

Są w Pieninach przybysze z Północy (z okresu dyluwium), jak *Conioselinum Fisheri* lub nietoperz, mroczek pozłocisty.

Rośliny te żyją w zespołach (asocjacjach), sadowiących się na pewnych miejscach, np. zespół elementów stepowych tkwi na bezleśnych skałkach wapiennych, towarzyszy mu zespół roślin wysokogórskich a między nimi takie, których nie ma nawet w bardzo bliskich Tatrach.

Nawet sosna, aczkolwiek nie różniąc się niczym od sosny nizinnej, występuje w towarzystwie zespołów charakterystycznych dla suchego, kamiennego stepu.

Pieniński pra-las bukowo-jodłowy zmienił swe oblicze dopiero wtedy, kiedy wkroczył człowiek wprowadzając sztucznie świerk. Las ten ma charakter puszczy, tym samym utrzymuje się tu i zwierzyna puszczańska. Zaginał wprawdzie zupełnie niedźwiedz, ale spotykamy w Pieninach, choć bardzo rzadko, żbika i rysia, borsuka, kunę domową i leśną, łasicę ryjówkę, dzika, nie mówiąc o sarnie i jeleniu przechodnim.

Ze 150 gatunków ptaków rzadkim lecz spotykanym jeszcze jest gnieźdzący się tutaj puchacz (*bubo bubo*).

Nietoperz północny, mroczek pozłocisty, kołysze się tutaj obok swego brata, podkasańca wąskoskrzydłowego, żyjącego również w Pirenejach.

To samo zjawisko spotykamy w świecie owadów i motyli (1000 gatunków w Pieninach).

Gdybyśmy zatem Pieniny poddali gospodarce człowieka, w postaci wyrębu lasu, košby polan itd., rzadkie i stare asocjacje musiałyby ustąpić nader pospolicym, towarzyszącym człowiekowi. Księga ziemi zostałaaby w swej dawnej i nietkniętej postaci zamknięta, zastąpiłaby ją popularna książeczka dnia dzisiejszego.

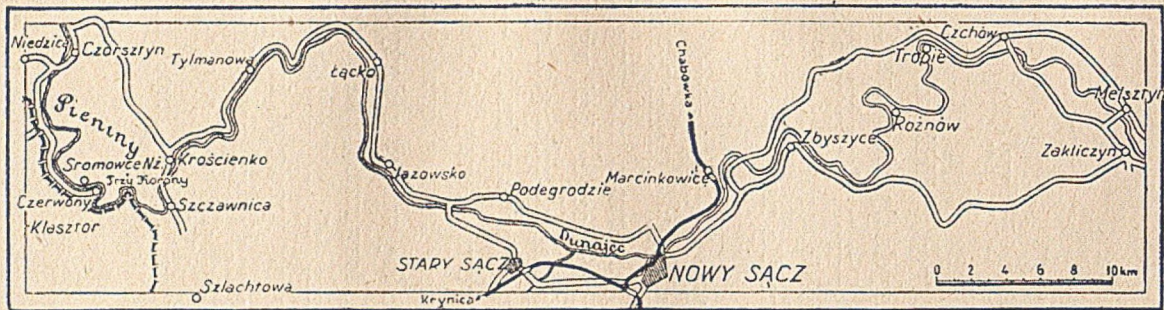
W tym więc leży sens i konieczność tworzenia parków narodowych na terenach, na których występują nader ciekawe i możliwie nieskażone zespoły roślinne jak i okazy geologiczne zwierzyna ¹⁾.

Dla człowieka, który nie umie ich odcyfrowywać, ale ma duszę czułą i nie zepsutą hasłami pseudoturystyki udostępnionej (od piwka do piwka autem, kolejką linową, może motorówką przez przełom), pozostaje majestatyczny, nie tknięty siekierą las, czoła turni, na których wyciągają ramiona złote sosny, a nad tym wspaniałym światem Ten, który patrzy w nasze serca i myśli.

Przyjdą po nas ludzie, którzy dotknąwszy stopą tej ziemi wspomną z szacunkiem głębokim i serdecznie tych, którzy tworząc park narodowy w Pieninach zostawili potomności małą, ale jakże cudowną oazę, w pustyni świata kamiennego i uzbrojonego po zęby.

¹⁾ Wiadomości przyrodnicze czerpane z prac prof. St. Kulczyńskiego.

DUNAJEC OD CZORSZTYNA DO CZCHOWA.



Objaśnienie znaków:
 - - - - - Granica Państwa
 ——— Kolej
 = = = Drogi bite
 ~~~~~ Rzeki   
 ● Miasta   
 ○ Wsie   
 ▲ Szczyry górskie

## VI.

Cicho odbija nasza łódź od przystani, pomyka w cieniu ogromnych lip klasztornych, na wprost ku majestatycznym Trzem Koronom. Pochyliły niepokałane czoła nad wodą, ostre końce korony obrzeża delikatny azur lasu. Za nami, w mgiełce, rosną wzwyż Tatry.

Porywa nas bystry nurt i niesie prosto na Ostrą Skałę. Pod topolowymi czółnami bełkoce i swarzy się spieniona woda, przerzuca nas przez żabice, potraça i kołysze. Drobna dziecięca dłoń ujmuje moje ramię na nagłym zakręcie pod ścianą. Trwamy tak w ciepłym uścisku wjeżdżając w krainę — ze snu. Pofałdowane fantastycznie ściany Grabczychy i Świniej Skały opadają pionowo w wodę zieloną, tak nagle uciśzoną, odbijając się w niej srebrzyście i bezdennie. Z prawa, ciemne lasy rzucają na wodę cień, środkiem węzłą łuską iskrzą się fiołkowo-niebieskie odblaski nieba. Jesteśmy w tunelu złożonym ze skał, lasów i nieba, pogłębionym odwrotnym obrazem, który roz-bija, roztraça na tysiące innych światów łódź.

Ziemia opowiada bajki — szepce mi mała towarzys-zka.

Słuchajmy — odpowiadam jej również szeptem jak w kościele.

Przed nami daleko wystają z wody żebra skalne, wybielone od słońca. Rzeka zwięża się w kamiennym łożysku, dawnym Zbójnickim Skokiem, kędy jeszcze na kamieńcu widno odcisk janosikowej stopy. Toń zdaje się szklana, bez dna. Za chwilę jednak ożywia się, szepce, faluje, pieni i porywa czółno na wielkim zakręcie pod Klejową. Przez moment widzimy znowu Trzy Korony w głębi tunelu, który dopiero co przejechaliśmy: woda wzburzona i wartka omija długi język półwyspu, wrzynającego się w jej nurt jasną, słoneczną murawą. Miodny zapach płynie z polany Huty, ujętej w ramę bukowych lasów Golicy. Zębate czuby, płaskich jak papier, Mnichów zamykają przed nami wodny szlak. W szmaragdowej jego toni odbijają się i kąpią srebrno-rune obłoki i płyną razem z nami. Znowu pod nakazem czarui przeinacza się świat. Woda rzuca się nagle sierpem błyszczącym w lewo, wprost na potężną pierś góry. Spada po niej ciemny las przeżłobiony żlebem. Odbicie góry zabarwia nurt ciemnym malachitem. Złote bryzgi słońca, mieszając się raz wraz z srebrnymi grzywami fal i bryzgami pian, rozplływając się kręgami barw w wyszukiwany deseń.

Niemasz przed nami drogi.

Jakgdyby rzeka wielka nagle przenikała w głąb Faćmiecha i zapadała się bez śladu. W głębokim cieniu znaczy się jedynie jej nurt koronką białej piany.

Nieodparcie porywa nas wart dunajcowy w swe uści-  
ski i niesie prosto na ścianę. Srebrnym pazurem szar-  
pie wiotkie czółna, przechyla w dziecinnym poczuciu  
siły, podrzuca i kołysze na zwehnionej falami toni,  
bryzga chłodnymi odpryskami fali w lica.

Ciemna ściana skały przepływa przed nami w gwał-  
townym pędzie otwierając wolną drogę — na spokoj-  
ną toń.

Ze stromych ścian Ligarków las płynie jak ta wo-  
da, ciemny i cichy. Odśmiewa mu się kwietnym  
blaskiem polanka. Z wysokości drogi samotny prze-  
chodzień rzuca nam pozdrowienie i uśmiech. Jesteś-  
my z jednego bractwa włóczęgów w krainach Czarar.

Nieograniczona w bogactwach ręka rzuciła przed  
nami spiętrzone wierchy Czertezika, Czerwonych  
Skał, tonących stopami w leśnych tajniach. Płyniemy  
ciągle wokół Golicy, by nagle nad jej czubą zobaczyć  
śmigły szczyt Sokolicy. Wyrasta i odsłania się wyso-  
ką, pionową ścianą, pnącą się wzwyż i wzwyż, pod-  
pierającą czołem niepokalane niebo. W głębokim cie-  
niu, w jakim płyniemy, mieni się w słońcu nateżonym  
blaskiem jej biała pierś. Wbita w toń, zmusza wody  
do opływu szerokim okolem Przechodków Wielkich,  
tak że widzimy za chwilę jej dostojny królewski  
płaszcz, deliję pachnącą żywicą, spadającą z barków  
w dolinę.

Zapatrzyły się na nią — królową — Sama Jedna  
i Bystrzyk. Szumią jej lasy i wdzięczy się woda.

Cierpko pachną olchy u gospody pienińskiej. Dochodzi nas gwar ludzi pod Hukową, raz jeszcze jakby na pożegnanie niosą nas bystre wody dokoła Hukowej i — bajka skończona.

Barwny rój górali od Szczawnicy i Krościenka otacza nas w porcie, mały konik ciągnie nas — jeszcze oszołomionych — pod wysoką górę, na której rozsiadło się zdrojowisko Szczawnica.

Ongiś bardzo modna, dziś zawsze potrzebna ze względu na znakomite lecznicze źródła szczawy sodowo-alkalicznej, roi się od kuracjuszków (mniej lub więcej ponętnych) i od turystów. Pomału zapada noc. W parku przez zielone liście przeświecają lampy. Cicho gra muzyka.

W jednym okienku, przy zielonej lampce, pochyłona nisko nad stołem, przypruszona szronem głowa. Pracuje Jan Wiktor, pisarz i ziemi tej piewca, pracuje. Odejźmy na palcach.

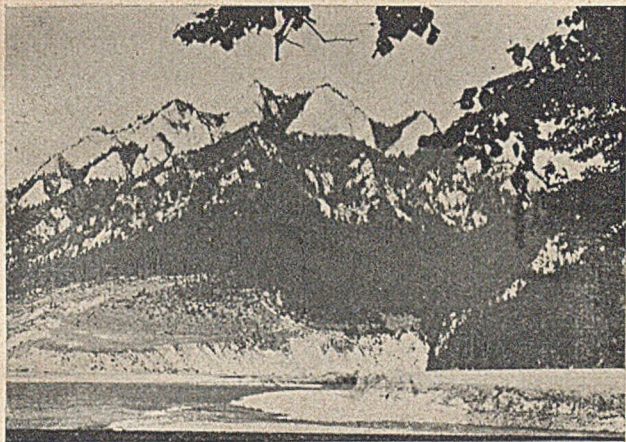
## VII.

Rankiem pniemy się na Sokolicę. Pochłania nas las chłodny, suchy. Przez Burzynę wychodzimy na przełęczkę. Ogromne jedle przesiewają słoneczne promienie. Jest cicho tą poranną godziną, zapamiętała tylko wygwizduje drozd. Pniemy się grańką coraz wyżej, w jakiejś szczelinie widzimy błękitniejącą otchłań i jasnozielone pasemko Dunajca. Stajemy wreszcie na szczycie.

Lekki poranny wiatr kołysze trawami, wystrzelającymi jak pożar z jałowej skały. U stóp, nisko, kilkaset metrów w dole, widno olbrzymią pętlę zielonoseledynowej wody dunajcowej. Niby ostroga wbija się w nią lesisty cypel, biegnący od Sokolicy, rzucając na toń delikatny cień. Łacha piasku błyszczy litym złotem. Dookoła garby górskie i lasy a hen, daleko, poprzężynany szachownicą pól, szeroki kraj falisty i kłóśny.

Nie mąci nic zupełnego spokoju.

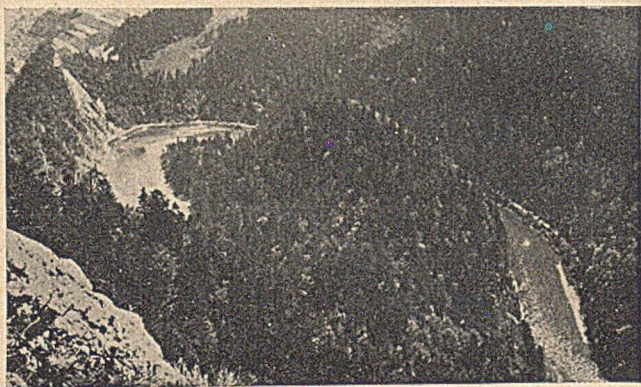
Na skalnej szczytowej ścianie rośnie wczepiona kurczowo korzeniami w kamienie, sosenka. Ułamanym szczytem godzi w niebo. Dolne gałęzie rozpostarła sezroko i trwa, zapatrzona w otchłań przepaści samotna. Kołysze się nad nią motyl-apollo długo, chwiejnie, wreszcie złożony skrzydełka opada bia-



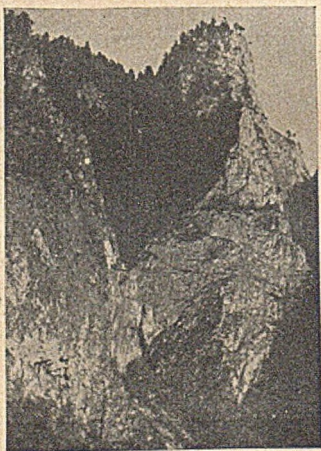
„ostre końce korony obrzeża delikatny azur lasu“...



„Flisacy pienińscy w białych „portkach“ z czerwono wyszywanymi przyporami, w niebieskich bogato haftowanych kamizelach“...



„u stóp, nisko, kilkaset metrów w dole widno olbrzymią pętlę zielono seledynowej wody dunajcowej“...



„Śmigły szczyt Sokolicy wyrasta i odsłania się wysoka, pionowa ściana“...



łym płatkim w błękit pod stopami. Wysoko kwili jastrząb.

Dobrze jest żyć — na szczytach.

Wracamy tym samym szlakiem na przełęczkę i zniżamy się na dno Pienińskiego Potoku. Ziemia pachnie wilgocią, gęste olchowe zagaje ocieniają dno doliny. Wśród łomów i morza ziela szemrze woda. Łany niezapominajek ścielą się błękitnym kobiercem pod stopy. Białe brzozy gną wdzięczne ciałka nad strumieniem, wespół z dzikim bzem i jarząbiną. Ścieżka zaczyna mozolnie piąć się w górę, wreszcie wchodzimy w piarżyste koryto. Słońce, odbite od skały, praży niechętnie, coraz wyżej i wyżej, w mozołe i spiekocie docieramy do siodelka na Zamkowej Górze. Obejmuje nas kojący cień u progu pustelni. Miejsce uwiecznione, uświęcone stopami świętej Kingi, owiane czarem legendy i historii.

Stał tu niegdyś gród, którego zaledwie nikłe ślady pozostały.

Posłuchajmy, jakim go chciał widzieć Sz. Morawski: „Od zachodu samorodny mur skalisty pozostawiono nietknięty, a pomiędzy nim a litą skałą góry wzniesiono potężną czworoboczną stróżę wchodową.

„...Ściana skały, na której ta brama stoi, prawie o dwie siągi wywyższona nad poziom najbliższej możliwej ścieżki; więc o bramie wjazdnej nie mogło być mowy... Wschód ten, sam przez się nadpoziomny, ciasny i niski, po dziś dzień widoczny, wiódł w poziomą stróżę i służył za furtkę warowną, żelaznymi kutymi

drzwiami zamykaną. Prócz tego, w wysokości piętrowej prawdopodobnie, okno szerokie, zamykane pomostem zwodzonym, z którego spuszczano drabinę lub kołowrotem wyciągano osoby znakomitsze, jak to i po innych zamkach bywało. Wieża ta, czyli stróża, nie była wysoka, gdyż potrzeba nie wymagała więcej nad dwa piętra nadpoziomne. Do stróży przystawiano piętrową strażnicę od strony spadzlistości ku Pienińskiemu Potokowi, dla załogi zamkowej mianowicie, dla starszozyny, jak to po zamkach zwykle bywało.

„Za strażnicą był mały dziedzińczyk ze studnią, a raczej cysterną, której ślad widoczny. Mur łączył go ze strażnicą.

„Dalej, na podwyższeniu może trzyłokciowym, stało zabudowanie: 4 siągi szerokie i długie tyleż, prawdopodobnie też piętrowe. Był to zamkowy dwór czyli dziedziców mieszkanie: Kingi. Góra skopana, wyrównana tworzyła szczuplutki podwórzec, nad którym spadzisto wznosi się skalisty grzebień góry. Znać wyraźnie ślady pracy ludzkiej, i niby terasę spadzistą, prawdopodobnie ogródek zamkowy właściwy.

„Dalej szedł mur zginając się wedle zakrętów skały, a wznosząc się ciągle ku szczytowi. W połowie jego na kilkusażniowym wywyższeniu, w zupełnym odosobnieniu stała kaplica zamkowa, do której od dwóra wiódł chodnik, przeszło siąge szeroki, więc wygodny, górą schodowaty.

„Powyżej kaplicy, mur wspinając się nagle do góry przytykał do drugiego wchodu: od jaworowej do

liny. I tu szczyba głęboka w skale stanowiła samorodny przedsionek wchodowy, a brama stała oparta o samorodne ściany. Stróża mała i okrągła stanowiła narożnik muru, bramę zaś samą stanowił mur od stróży, w poprzek szczyby wzniesiony. Wchód nie mógł być jak po drabinie lub po linie wiadrem“.

Nie pozostał kamień na kamieniu, zaledwo nikły ślad fundamentów zarosły dzikim bzem i leszczyną. Nie daremno u pustelnika jest napis:

„... jak mgła jest człowiek...“

Miejsce owiane legendą wiąże się ściśle i historycznie z napadem Tatarów i ucieczką Kingi do zamczku pienińskiego. Do dziś dnia legenda ta trwa i głosi:

„Kinga uciekająca, kiedy już zasłyszała wroga pędzącego za nią, rzuciła poza siebie: grzebień. A lasy gęste i wysokie wyrosły z ziemi zasłaniając ją.

„Zmęczona usiadła potem nad Dunajcem prosząc, żeby ją ludzie ukryli, krosieńczanie żeby jej koni dali. Nie chcieli, więc płakała, żaliła się na niewdzięczność ludzką i przeklęła krościeńczan, a skargi swoje pisała palcem na twardym kamieniu. Ulitowała się ziemia, zebrała łezki jej i powstało źródółko małe, kroplami ściekające w bliski Dunajec, zlitował się kamień i zmiękł, i po dziś dzień nosi na sobie ślady pisanych jej żalów. Ludzie później żałując swej złości postawili tam kapliczkę między Krościenkiem a Szczawnicą.

„Orał i siał chłop, Kras, i ulitował się jej. Wyprzągł woły i podwiózł ją. Rzekła Kinga: Jak się będą o mnie pytać wskażesz inną stronę i powiesz, żem uciekała wtedy, gdyś to zboże siał. Po czym na Krasego pole rzuciła szczotkę, a gęstym szczotem poschodziło zboże.

„I znowu ją dopędzali wrogowie. Więc rzuciła różaniec: Pieniny, skały wieńcem wyrosły z ziemi i zakryły ją. Lecz Tatarzy tuż za nią. Więc rzuca nieboga zwierciadło, które się zmieniło w wodę. Ucieka Pieninami, a woda za nią i Dunajec przegryzł się przez Pieniny, bo wprzód nie tak głęboko płynął, a kiedy wody spadły, to się cofał w górę zalewając osiedla ludzkie. Dopiero Kinga przeprowadziła go uciekając Pieninami. Więc Tatarzy widząc taką wodę wrócili. Zdybali Krasego orzącego dalej. Pytają, czy biegła tu Kinga i kędy.

„Biegła, gdym siał to zboże. Tam ku Krościenku. Więc zwątpili w pogoń, widząc zboże szczotem poschadzale, myśleli, że to dawno siane. Zwrócili się w inną stronę szukając Kingi.

„Dopadła ona w końcu Pienin zamku, któren budowali dla niej anieli lotem skrzydlatym znosząc kamienie. Przypadli też i Tatarzy, zaczęli strzelać i dobywać zamku i Kingi. Więc rzuciła zasłonę swą. Zasłona przemieniła się w czarną, gęstą chmurę, otuliła zamek, ukryta przed oczyma Tatarów, że nie widząc go nie wiedzieli kędy strzelać i wzajemnie się strzałami razili. Strzały puszczone na oślepie nie godziły

w zamek, lecz w nich samych. Sami sobie pozabijali dowódców. A tu owa chmura czarna dudni nad nimi, pioruny biją, skały się trzęsą, woda zalewa i grad tłucze z góry, słowem: sąd boski.

„Poznali Tatarzy, że Kinga świętą królową, że Bóg sam ujmuje się jej. Więc uciekli co tchu“ (Morawski).

Z błękitnej wstęgi królowej świętej powstały dunajcowe wody...

Pniemy się na szczyt Zamkowej Góry do Ogródka świętej Kingi. Pionowym zrywem spadają ściany w dół. Buczyzna krągłymi wierzchołkami płynie w dolinę. Sokolica wyrasta nad Dunajec, ujęty w leśne brzegi. Daleko złoci się szeroki świat.

Za nami na wieżyczce rozkołysał się dzwonek. Pustelnik w burym chałacie oddzwania ziemi i niebu Anioł Pański...

Sztuczna z dylów ułożona ścieżka, zawieszona na południowej ścianie Zamkowej Góry, prowadzi ku Trzem Koronom. Zrazu leśną granią, stromą polaną i znów lasem podchodzimy pod najwyższą czubę Trzech Koron i dość przepaścistą ścieżką wydostajemy się na szczyt.

Trudno słowami opisać niezwykle stamtąd widok. Jak wielobarwny wachlarz, lekko sfałdowany, leżą głęboko pod nami pola, przecięte Dunajcem. Niby zabawka błyszczy u stóp Czerwony Klasztor w Lechnicy. Pierwsza łódka, która odbiła od przystani, porusza się na zielonej toni jak maleńki chrząszczyk.

Drzewa, okolone własnym cieniem, przypadły bezpienne do miedz, biała wstążka drogi jak nitka srebra zeszywa pola z Tatrami.

Złota płyta pól podnosi się coraz wyżej i wyżej, aż rozplywa się i wsiąka w ciemne lasy.

... By graniczny słup zuchwale  
Stoją nagie Tatry w śniegu“.

Odrywiają się od ich zębatej grani maleńkie obłoczki białe i krągłe i rozplywają się w bezmierne niebo. Srebrnołuski wąż halnego wiatru oparł się o szczyty, dochodzi nas tylko jego gorący oddech. Mój mały towarzysz jest przesycony czarem tej ziemi, przesycony i prawie smutny. Nie mówi nic tylko paluszkciem wskazuje tu i tam. Zagnany ciepłym prądem powietrza, krąży koło nas maleńki, jasnoblękitny motyl. Usiadł na paluszkciu dziewczynki i beztrosko wachluje skrzydłami. No — jest bosko.

Schodzimy na Szopkę. Tak się to nazywa przełęcz nad Wąwozem Sobczańskim. Leszczyna wystroiła się w nieźrałe jeszcze orzechy, strojne w fryzowane kołnierze. Jałowce drzemią wyparowując odurzający zapach gorącego dnia. Otwierają się przed nami czarodziejskie polany pełne różnobarwnego kwiecia. Jak w najwspanialej pomyślanym parku, porozrzucane są po nich kępy jasnych buków, ciemnych smreków, niebieskich jodeł i srebrzystych brzoź. Aksamitna trawa ściela się pod stopy barwnym dywanem. Pomału dogania nas chwila przedwieczorna, ścieląc

długie cienie drzew na murawy. Przeświecające przez las turnie różowieją, drzewa ciemnieją, przelatuje od gałęzi do gałęzi przedwieczorny wiatr.

Z całego serca wyśpiewuje, jak rankiem. szary leśny drozd.

Zbaczamy od źródelka na łączkę pod las i zapadamy w wysokie trawy. Niebo zielenieje nad nami, chłód wstaje z mokrej łąki. Przytuleni do siebie patrzymy, nienasyceń, na Zamkową Górę, na Trzy Korony, na lasy i polany.

Z gęstwi leśnej wyszła sarna i stanęła wśród traw. Zwróciła ku nam śliczną, kształtną główkę o czarnych chrapkach i patrzy wielkim, granatowym okiem. Tak trwamy. Pasie się i oddala od nas ku wąwozowi. Bezszelestnie odchodzimy i my nie mącąc chwili pokoju.

Na Wymiarkach ostatnim pobrzaskiem zapłonęły zbocza Lubania i zgasły. Babia rozplynęła się w ostatnich łunach.

Kiedyśmy zeszli w dolinę, na niebie zabłysła pierwsza gwiazda. Srebrny grot wschodzącego księżyca uderzył w fale Dunajca. Nad głowami cichym lotem krążyły nietoperze i brzęczały bąki.

Noc zeszła na ziemię.

## VIII.

Płyną dunajcowe wody w doliny krajem nad wyraz pięknym. Ciche miasteczko Krościenko rozbrzmiewa gwarem jarmarku. Zbiegły się tu stroje góralskie od Tater, od Szczawnic, z Czarnej Góry, Spiszacy, wreszcie Łemkowie z Jaworek i Szlachtowej. Gwar bije w niebo. Idziemy. Biorą nas w swą opiekę przydrożne aleje świerkowe, wierzbowe. Rzeka płynie między ostatnimi skałkami pienińskimi i potężnym masywem Lubania.

Ciepła dolina pod Tylmanową stroi się sadami śliw i jabłoni i wysokimi topolami. Świecą białe kolumny starego tylmanowskiego dworu, kędy od stuleci gazduje szanowny ród Berskich — dobrych obywateli i działaczy społecznych.

Górami, dolinami, wiję się droga nad Dunajcem, którym nierzadko płyną tratwy zespolone z potężnych świerkowych pni. Dolina rozszerza się, biejeje Łącko, Jazowsko, w słońcu błyszczy wieża klasztoru w Starym Sączu, przez świętą Kingę ufundowanym i bogato zaopatrzonym. W widłach Dunajca i Popradu, gdzie się zlewają ich wody, stare miasteczko, pamiętające wszystkie burze (Krwawa ulica), przeżyło siebie ustępując Nowemu Sączowi.



Od XIII wieku rośnie miasto Nowy Sącz na brzegu Dunajca białym zamkiem błyszcząc. Zbiegają się w nim drogi handlowe ze wszystkich stron, napelniając złotem kiesy i skrzynie sławetnych mieszczan.

Przeżywa wzrosty, upadki i znów renesanse, hojnie uprzewilejowywane przez królów. Dziś — miasto jak każde inne, niczym się chyba nie wyróżniające jak tym, że jest jakby stolicą rozległego Podhala, ma serce gorące i patrząc na niedalekie pola legionowej legendy poczuwa się do obowiązku wytężonej pracy i do podniesienia kultury tej sławnej ziemi. W starych kaźmierzowskich murach zamkowych, mozolnie i z pietyzmem odnawianych, słyszy się dziś pięknie głoszone Słowo, rozwiesza się na szacownych ścianach dzieła sztuki synów tej ziemi, ożywia się dawność nowym twórczym tchnieniem. Tak harmonijnie splata się przeszłość z dniem dzisiejszym, ku chwale Ojczyzny. Kraj gęstoznaczony śladami przeszłości. One Podegrodzia — Gródki, Czchów z prastarą krągłą stróżą, wyniosły Melsztyn, z wieżą wystrzelającą nad las, otwierają jeszcze jeden, po Pieninach najpiękniejszy, zakątek koło Tropia i Rożnowa.

Wysoka skała tropskiego kościoła, pustelnia, w której św. Świrad przebywał, wędrowiec nad Popradowymi i Dunajeckimi wody. Tropsztyński tyn na skałę, w Dunajec się wrzynającej i panującej nad wodą i drogą. Rożnów Zawiszów — owe gniazda rycerskie, butne, dziś zarosłe darnią i macierzanką, trwają nad

wodą szeroką rozlaną, jak milowe kamienie naszego pochodzenia z dawności ku dniom dzisiejszym.

Na góry spływa mgła, pomału toną w niej szczyty Tatr. Grubym wałem obniża się ku lasom perląc delikatnym dżdżem smrek. Jest duszno. Ani jedno tchnienie wiatru nie rozrywa szarej opony, z wolna zaczyna mżyć deszcz.

Długimi pogodami wysuszona, ziemia pije łakomie wilgoć. Pęcznieją mchy, trawy kłonią się syte, upojone. Drobnymi źlebkami sączą się srebrne nitki nadmiaru, spływają po upłazach i grzędach, niepożorne a szybkie, zbiegają się ze sobą, zlewają w nikle potoczki, buszują pomiędzy kamieniami z rozgwarem i szumem. Deszcz pada bez ustanku. Potoki nabrzmiwiają wodą pędząc w doliny z krzykiem, jakby nadmiarem swym rozpasane. Spadają w ogromnych kaskadach po kamieniach, zalewając brzegi. Spieniona woda porywa się na moczarską puszczy, na smrek zadumane we mgle nad nurtem. Targa je pazurem, opluwa pianą. Wzmrożona, uderza z siłą wyrrywając spod moczarskich korzeni caliznę: ziemię i kamienie. Z trzaskiem chyli się leśny władca i pada w poprzek koryta. Wesóło przeskakują po omszałych konarach fale, zamulisko kamieni i gliny wyrasta w potężny wał.

Niefrasobliwie omija go woda wyrrywając całe połacie lasu i śpieszy w doliny. Z hukiem toczy kamienie, wrzask wód mąci ciszę gór. W dolinie urastają wody do potęgi rzeki, niszczą po drodze każdą zapórę.

Deszcz pada bez przerwy.

Dotarły wody do ludzkich osiedli. Wylękłych ludzi osacza groza. Rozlewają się wyżej brzegów, po łąkach i polach żółte, spienione, bez ustanku pędzące przed siebie, niczym niepoohamowane. Znikły kładki i mosty. Pierwsza chata nadbrzeżna, podmyta, cicho zesunęła się bokiem w wart powodzi i zawirowawszy na fali, rozdarła na strzępy — zniknęła w burych odmętach. Spłynęły stare olchy i jesiony, wydarte z korzeniami. Krzyk i płacz tłumi ryk rzeki. Zniknęły pod odmętami i namulami zagony dojrzewających zbóż. Rozszalała rzeka przerywa tamy, drogi, linie kolejowe. Z narażeniem życia wyrusza przeciw niej wojsko, saperzy. Nad zalanymi połaciami kraju patrolują samoloty rozrzucając żywność i wieści.

Gromady ludzkie koczują pod niemiłosiernym niebem, siekącym bez przerwy dżdżem. Ktoś łamie ręce, woła w ciemną noc imię człowieka, który już nie wróci. Dzieci o ziemistej twarzy grzeją się, skulone przy ogniskach, ryczy bydło.

Zamknęły się wreszcie upusty niebieskie. Zwolna opadają wody, wracają do swych łożysk rzeki i potoki. Spod namulisk rozpacznie sterczą w niebo kominy rozwalonych chat, na łąkach leżą wzdęte trupy bydłace. Gdzieś w gałęziach wierzby wisi uwikłana, pusta kolebka. Pokładzione, zamulone, cuchną zgnilizną łąny zbóż, ziemniaków i okopowizny. Na miejscu sytych ornych pól, kilometrami ciągną się łąchy i kamieńce, naniesione przez wodę. Całkowite zniszczenie ogromnej połaci kraju, całkowite znisz-

czenie warsztatu pracy, choroby, nędza i głód stoją na progu chałup. Jeden wielki krzyk rozpaczy wstrząsa, umęczoną okropną klęską, ziemię.

Stanął na przeciw butnej wody Człowiek Dzisiejszy, który nie buduje rycerskich zamków, ale buduje drogi, mosty i zapory.

Stanęła naprzeciw wola człowiecza spokojna, zimna i zwarta w sobie.

Wodo, wodo zielona, wodo szalona. Twojej sile przeciwstawię swoją siłę, twojemu rozpasanemu niszcycielstwu przeciwstawię swój namysł głęboki, swój rozum, swe nieomyłne obliczenia.

Nie będziesz szaleć. Nie będziesz w szaleństwie niszczyć dorobku człowieka, a więc dorobku mego Narodu, mojej Ojczyzny. Ugnę Twój kark, strojny w łuskę srebrzystą, wcisnę tve ciało w brzegi, których siłę oporu ja wyznaczę, zbiorę twój nurt w spokojne jezioro zapory i rzucę, kiedy będę chciał i jak będę chciał, przez śluzy regulując i kielznając twoje szaleństwo.

Do pracy zmuszę twoje szaleństwo. Posłusznie będziesz obracać pióra turbin, spieniona i zła na narzuconą sobie wolę, moją wolę. Wypracujesz siłę, która rozniesie, jak tylko kraj szeroki, na wszystkie strony energią niespożytą. Rozbłyszną elektryczne lampy, gdzie były kurne chaty, zahuczą warsztaty pracy tam, gdzie ręce tej pracy żądne, spoczywały bezrobocze.

Wydrę ci tysiące hektarów ziemi, które zajęłaś na swe harcowsko i zamienię je w kwitnące ogrody. Miliony ton niesionego przez ciebie kamienia wybrukują ulice wiosek i miast.

Okiełznam cię, wodo, i uczynię błogosławieństwem kraju.

Ja — człowiek, który twemu szaleństwu przeciwstawiam swój rozum i swą wolę.

Wybiorę miejsce wśród niepożytych skał, na których stały kiedyś rycerskie dumne tyny, i miejsce to zastawię twemu nurtowi zaporą betonu i stali. Zawezwę junackie ręce bezrobocze i podejmę z nimi pracę równą twojej pracy.

Stworzę Zaporę Rożnowską.

Kiedyś mówiło się: to siedziba Rożnów, i widziało się rycerzy, których pierś zakuta była w pancierz, a ręce zaciśnięte były na głowicach mieczy.

Od dziś mówić się będzie: Oto Rożnowska Zapora, i widzieć się będzie stalowo betonową ścianę zapory, regulującą nadmiar wód, przeciwstawiającą się niszczycielskiej sile ich wylewów, pracującą nad wytwarzaniem energii.

Tak pomyślał, opracował, wyliczył człowiek. Rozumiał, że ma do czynienia z harnasiem górskim, którego można opętać jedynie przeciwstawiając jego sile wszystkie swoje siły.

## IX.

Nie działał sam. Wezwało go Państwo, Jego gospodarny Rząd, i oddało mu do dyspozycji mózgi i pieniądze.

Najpierw poddano badaniu miejsce, kędy miałyby stanąć zapora. Zbadano ją dokładnie, opukano, wiercono owe wrota dunajcowe, aby nabrać przekonania, że nie padną pod naciskiem wód, kiedy je złączy zapora. Poddano badaniu dno rzeki. Stwierdzono, iż występują tam warstwy skalne, złożone bądź to z piaskowców, bądź to z łupków iłowych, z konglomeratów, że idą one uskokami, że ta niejednorodność dna wymaga budowy złożonej, w tym wypadku z 36 bloków, po 15 metrów długości.

Zbadano, iż warstwy, w miejscu gdzie stanąć ma zapora — mają upad ku zbiornikowi, wynoszący około 30 stopni, nader dodatni dla koncepcji, tak ze względu na to, iż wypadkowa sił wód prących na zapórę działać będzie prostopadle do warstw skalnych, jak też i to, że upad taki ma wybitny wpływ na szczelność samego podłoża.

Musimy pamiętać, iż fundament zapory jest decydującym czynnikiem dla jej odporności i istnienia. Musi być założony tak, aby masy betonu nie podległy

osiadaniu, jak też, aby po iłowych łupkach nie ześlizgnęły się.

Z 36 bloków, mających stanowić ciało zapory, każdy został indywidualnie opracowany. W aluwiach pogłębiono fundament na 8 metrów, w piaskowcach głębiej o 10 metrów, dla osadzenia go na caliźnie nie zwietrzałej. Wiercono w piasku otwory do 30 metrów i zalewano mlekiem cementowym, celem uszczelnienia go ze względu na diaklazy. Ze względu zaś na śliskie iłupki, miejsce, gdzie ma stanąć w przyszłości zakład wodno - elektryczny, uzbrojony sztucznym podłożem dwuzębnym, i wpuszczono w nie studnie prześlizgowe, których szczytowe uzbrojenie żelazne, w postaci szyn sterczących pionowo, zrosło się z blokami zapory. Na takim fundamencie stanie zapora, o długości 550 metrów, która ma się przeciwstawić przelewowi wód — od normalnego: 60 metrów sześć. na sekundę do powodziowego: 3.800 metrów sześć. na sekundę. Poza tym ten szalony narost ilościowy, a z nim i narost siły niszczącej, trzeba rozłożyć, unicestwić i w tym celu tworzy się sztuczne rozbijacze energii wód, w postaci dwu szeregów odbojów, na których rozbije się wart rzeczny, i jego dążące działanie na zaporę.

Wody dunajcowe rozleją się przed zaporą w sztuczne jezioro, nawet z wysepką, zajmującą swym lustrem powierzchnię 18 hektarów. Jego pojemność rezerwowa w stosunku do letniego stanu, niższego od

maksymalnego o trzy metry, wyniesie prawie 51 milionów metrów sześciennych.

Zapora wzniesiona do wysokości 49 metrów, objętości 380.000 metrów sześciennych, o sześciometrowej jezdni w koronie, składająca się z trzydziestu sześciu bloków, będzie miała siedem sekcji przelewowych, których korony będą 6 metrów niżej lustra wód jeziora, z żelaznymi zaworami (segmentami). Na dnie zbiornika będzie 5 upustów rurowych z zasuwami.

W pięciu blokach zapory umieszczony będzie zakład wodno-elektryczny, z czterema turbogeneratorami; turbiny o trzymetrowej średnicy wirnika.

Spad wody do turbin, wysoki na 31.5 metra, wyda energię 50.000 kilowatów.

Rozpoczęto budowę zapory w roku 1935. Ukończona będzie w roku 1940.

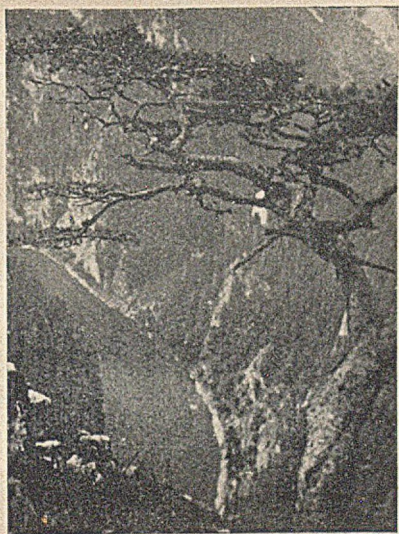
W roku 1935 przygotowano laboratorium, budynki administracji oraz kolonię mieszkalną dla pracowników umysłowych i fizycznych.

Z Mościc, na przestrzeni 50 kilometrów, przeciągnięto sieć elektryczną wysokiego napięcia. Ułożono 19 kilometrów toru dla kolejki wąskotorowej, łączącej Rożnów z Marcinkowcami.

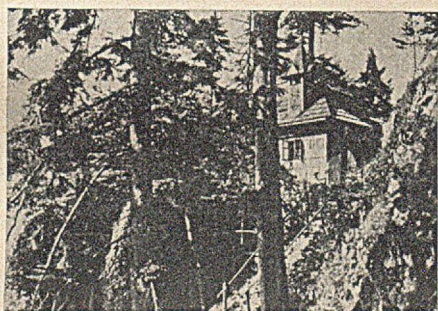
W roku 1936 sprowadzono i założono instalacje mechaniczne dla wytwarzania i podawania na miejsce budowy betonu.

W roku 1937 ułożono łącznie 120.000 metrów sześć. betonu.





„Na skalnej szczytowej ścianie rośnie, wszczepiona kurczowo korzeniami w kamienie, sosenka“...



„Obejmuje nas kojący cień u progu pustelni“...



Zapora w Roznowie

Obecnie coraz wyżej wznoszą się w górę żelazo-betonowe bloki zapory. Nad nimi sterczy dźwigarowa rampa, jak potwór o żelaznych żebrach, wysoka na 86 metrów, obejmująca sobą całą budowę od brzegu do brzegu. Olbrzymi transporter, uwieszony na linach wspartych na rampie i umocowanych na skałach, przenosi na taśmach masę betonową. Przechodzi ona niemal bez dotknięcia rąk ludzkich następujące koleje:

Z kamieńców dunajcowych pobiera się za pomocą bagera żelaznego żwir. Bager posuwa się wzdłuż brzegu i nabiera w przeciągu godziny 100 metrów sześć. żwiru ładując go na wagony kolejki. Stąd dostaje się do betoniarni, gdzie posortowany, przesiany przez sita, w miarę potrzeby potłuczony na odpowiednią wielkość, opłukany, zważony, zmieszany z cementem i piaskiem w wirówce, zostanie przeniesiony transporterem i wylany w oszalowania bloków. Tam jeszcze wibratory, poruszane sprężonym powietrzem, ustalą i wzmocnią jego wytrzymałość i wodoszczelność.

Betoniarki, dostarczające beton, wydają na godzinę 35 metrów sześć. betonu. Dziennie pochłania moloch do 300 ton cementu (20 wagonów). Ogólne jego zapotrzebowanie wyniesie 100.000 ton. Jeden blok betonowy pochłania 150 ton żelaza. Beton, wlewany w bloki, podlega badaniom laboratoryjnym podobnie jak cement do tego użyty. Bada się jego składniki

maksymalnego o trzy metry, wyniesie prawie 51 milionów metrów sześciennych.

Zapora wzniesiona do wysokości 49 metrów, objętości 380.000 metrów sześciennych, o sześciometrowej jezdni w koronie, składająca się z trzydziestu sześciu bloków, będzie miała siedem sekcji przelewowych, których korony będą 6 metrów niżej lustra wód jeziora, z żelaznymi zaworami (segmentami). Na dnie zbiornika będzie 5 upustów rurowych z zasuwami.

W pięciu blokach zapory umieszczony będzie zakład wodno-elektryczny, z czterema turbogeneratorami; turbiny o trzymetrowej średnicy wirnika.

Spad wody do turbin, wysoki na 31.5 metra, wyda energię 50.000 kilowatów.

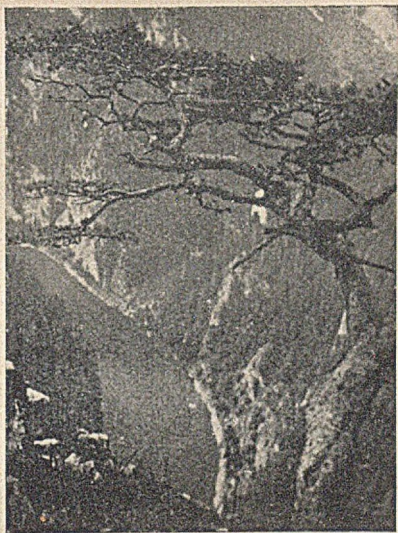
Rozpoczęto budowę zapory w roku 1935. Ukończona będzie w roku 1940.

W roku 1935 przygotowano laboratorium, budynki administracji oraz kolonię mieszkalną dla pracowników umysłowych i fizycznych.

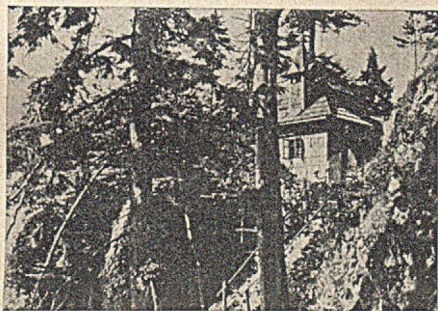
Z Moście, na przestrzeni 50 kilometrów, przeciągnięto sieć elektryczną wysokiego napięcia. Ułożono 19 kilometrów toru dla kolejki wąskotorowej, łączącej Rożnów z Marcinkowcami.

W roku 1936 sprowadzono i założono instalacje mechaniczne dla wytwarzania i podawania na miejsce budowy betonu.

W roku 1937 ułożono łącznie 120.000 metrów sześć. betonu.



„Na skalnej szczytowej ścianie rośnie, wszczepiona kurczowo korzeniami w kamienie, sosenka“...



„Obejmuje nas kojący cień u progu pustelni“...

i konsystencję zarówno w stanie plastycznym jak i twardym.

Praca mózgów i mrówcza praca tysięcy rąk, dźwiga wzwyż betonową pierś, mającą się przeciwstawić niszczycielskiej sile żywiołu dunajcowej wody.

Przeciwstawić, spętać i zmusić do pracy. Patrząc na rosnące bloki myślę:

Z dalekich gór, z białych śnieżnych pól, z głębokich dolin, płyniesz, wodo dunajcowa, oblewasz ślicznymi swymi falami kraj od Boga nam dany, niewiarogodnie piękny i wzniosły. Powstały nad tobą w dawnych wiekach miasta i wsie, przeżywające swoje dzieje. Wypłukałaś, o wodo, cud Pienin i jesteś sama skończonym wdziękiem i pięknem. Jesteś szalona i groźna, wesoła i pieśczośliwa, to znów ponura, zacięta i zbójcka.

Płyną twe wody ku matce naszych rzek, ku Wiśle, a z nią mieszają się z bursztynowym bełtem morskim.

Teraz stanął tobie naprzeciw człowiek i zahamował twój bieg na pożytek ludziom, na ubezpieczenie ich pól przed twym szaleństwem, na pracę wytwarzającą energię niespożytą, która podniesie dobrobyt i poruszy tysiące warsztatów.

Nie smuć się, wodo zielona, wodo dunajcowa. Będziesz pracować, wodo zbójnicka, na hyr — na sławę Ojczyzny, która się dźwiga.

*Zakopane, dnia 6 listopada 1938 r.*



SŁOWNICZEK  
WYRAZÓW GWAROWYCH I TRUDNYCH.

Aluwia — przyrosty, tworzące się stopniowo na gruntach nadbrzeżnych, wszelkich rzek. Po polsku nazywano je przysypem lub nasypem (Czacki).

Bager — maszyna do kopania gruntu nawodnionego

Banior — głębina wodna w postaci miniaturowego stawku.  
Powstaje zwyczajnie tuż poza wodospadem.

Barować się — zмагаć się.

Bazicki — ziele, święcone w kwietną niedzielę.

Borta — taśma, którą obszywa się n. p. kraj ornatu.

Budarz — cieśla.

Burniawa — burza.

Cetynki — igielki smreka.

Chrobry — dzielny.

Dranice — długie deski, nie gonty, służące do pokrycia dachu.

Dujawica — wiatr z deszczem.

Dźwierze — drzwi.

Drzewiej — dawniej.

Folusz — pracownia, gdzie się sukno ubija (pilśni).

Gazdować — gospodarzyć.

Geleto — wiaderko z klepek.

Grzędą — boczne żebro w stoku górskim.

Habryka — tytoń.

Hamernia — kuźnica, huta.

**Hasen** — zysk, należność.  
**Holofienie** — pogłos.  
**Hyr** — sława; hyrny — sławny.

**Kerdel** — stado.  
**Kijań** — kijanka do bicia bielizny przy praniu.  
**Klag** — podpuszczka z cielęcego żołądka.  
**Konglomerat** — inaczej zlepieniec, utwór mineralny, składający się z obtoczonych ułamków skał, zlepionych z sobą lepiszczem.  
**Limierze** — piece ziemne do wypalania węgla drzewnego.  
**Koszar** — miejsce, gdzie owce nocują, ogrodzone płotkiem.  
**Kurniaty** — rogaty.

**Łupek** — w mineralogii wszelki kamień dający się dzielić na płytki. Rozróżniamy łupki wapienny, kwarcowy, ilowaty itp.

**Mincernia** — warsztat, gdzie tłoczono z kruszcowej blachy monetę.

**Mir** — pokój; niemirowy — niespokojny.

**Obitka** — deska ozdobna nad oknem z zewnątrz.  
**Obońka** — półpłaskie naczynie beczułkowate z klepek.  
**Okaisty** — czarny pod oczyma.  
**Opasek** — pas.

**Parzenica** — ozdobne wyszycie spodni z przodu.  
**Pazdur** — zakończenie szczytu dachu.  
**Pazucha** — róg izby wewnątrz, na zewnątrz węgiel.  
**Piarg** — usypisko drobnych kamieni.  
**Płaz** — drzewo, wzdłuż rdzenia przecięte.  
**Piporas** — cybuszek.  
**Podysarz** — półka pod ser.  
**Poruseństwo** — powstanie, rewolucja.  
**Potestas** (łac.) — władza; (potestatem — władzy).  
**Puciera** — wielka drewniana dzieża.

**Rajtok** — naczynie na wodę.  
**Redyka** — idzie za owcami.  
**Rysie** — górne belki zrębu na węgle, wypuszczone jako dłuższe, pięknie wykończone.  
**Ryzowany** — rzeźbiony, wycinany.



Sajta — szczapa drzewna.  
Sata — płótno.  
Serzeń — ścięte na ser, mleko.  
Serzynka — czysta szmatka, ściereczka.  
Siąga — dawna polska miara długości.  
Sikława — wodospad.  
Siuty — bezrogi.  
Skrzyżal — płyta kamienna, zwyczajnie z rzeki wydobyta.  
Śmierztecza — śmierć.  
Sozręb — główna belka pułapu.  
Srogi — nogi stołu, na krzyż złożone jak litera x.  
Śrybelnia — kopalnia srebra.  
Stolnica — płyta stołu.  
Śtyrbny — niebezpieczny.  
Śtuder — spryciarz, wynalazca.

Tempera — farba białkowa.

Tryptyk — obraz, składający się z trzech części, środkowej i dwu skrzydeł. Ramy takiego obrazu nierzadko były składane, to zn. dwa boczne skrzydła były na zawiasach i przykrywały obraz środkowy. Złożone, miały również malowidła zewnętrzne.

Tulać — tokować.

Turbogenerator — zespół turbiny i dynamomaszyny, wytwarzający prąd elektryczny.

Turlikają — dzwonią.

Uzdajana — wymyślona.

Wart — kipieli.

Watra — ognisko.

Wiatrołom — połać lasu, powalonego wichurą.

Wibrator — przyrząd służący do wstrząsania i mieszania masy betonowej.

Wietek — księżyc w kwadrze; miesiąc — pełnia.

Wirba — wierzba.

Wirnik — obrotowa część turbiny.

Wywierzysko — wylot podziemnych wód (Wywierzysko pod Kalatówkami w Tatrach).

Zberczeć — dzwonić. Dzwonki robi się w Tatrach z płatu miedzianej blachy zwiniętej, stąd głos dzwonka „zberczący“.

Żleb — na zboczu góry powstaje rynnowate zagłębienie, którym spływają wody pociągając za sobą kamienie.

Żętyca — owcze mleko.

Żabica — kamień w potoku.

BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH

239

237

2007-01-22

14.05.1999

2009-09-03

2012-01-17

2012-09-11

